

Czy można to nazwać poświęceniem? Widzieliśmy efekty, zdarzały się stany euforii, gdy coś nam wychodziło.

Jak przełożyć na zwyczajny język dorobek 50 lat pracy naukowej? Przedstawić na kilku stronach życie człowieka doświadczającego okrucieństw wojny, trudem organizowania od podstaw katedry. Czy wymienianając tytuły prac, podejmowane problemy, badania o światowym znaczeniu, możliwe jest odzwierciedlenie tego, co w potocznym rozumieniu utożsamia się z sukcesem zawodowym? Jak zmierzyć się z tym wszystkim, co dla naukowca stanowiło cel w życiu, a nam obserwującym z zewnątrz wydać się może li tylko bezgranicznym poświęceniem?

Kiedy zaczynam o tym rozmowę z KAROLEM BULUKIEM w Zakładzie Patologii AMB, którym kieruje od 35 lat, profesor mówi zwyczajnie: musiałem się spieszyć. Tyle lat straciłem na pionierstwo.

Pracę naukową rozpoczął jeszcze jako student w 1937 r. na Akademii Medycznej Weterinaryjnej we Lwowie. Przypadek z hematologią, której poświęcił całe życie, zaczęła się dość niewiele.

— Byłem już — wspomina profesor — starszym asystentem na weterynarii, kiedy na jednym z zebranych naukowych usłyszałem prof. Hugona Kowarskiego. Zafascynował mnie tym, co mówił. Był autorytetem, znaną osobistością w kręgach naukowych. Postanowiłem, że muszę u niego pracować. Pożegnaniem na rozmowę. Zgodził się, ale pod warunkiem, że skończę medycynę.

Karol Buluk rozpoczyna więc studia na wydziale lekarskim i jednocześnie jako asystent podejmuje pracę w Zakładzie Patologii Ogólnej i Doświadczalnej. Kiedy przyjeżdża w 1952 r. do Białegostoku, posiada już dwa doktoraty oraz znaczącą pozycję w medycynie. Wspólna z prof. Kowarskim monografia o postępach badań nad krzepnięciem krwi była pierwszą w Polsce ujmującą tak szeroko to zagadnienie. Wyniki prac weszły na stałe do piśmiennictwa, stając się przełomem w historii badań procesów krzepnięcia.

Białystok zrobił niekorzystne wrażenie na młodym naukowcu. — Pierwszym od razu było uciekać. Nie czułem jeszcze związku z tym miastem. Trafiałem przypadkowo, ponieważ powstała tu Akademia i potrzebny był patolog, więc zdecydowałem się. Wydawało mi się wówczas, że miasto jest kompletnie zniszczone. Ratusz zrujnowany, pałac dopiero odgruzowywano, w uczelni nie było niczego — ani ludzi, ani sprzętu.

Prof. Sławiński widząc jego roztępienie szybko zorganizował wycieczkę. Pięknych okolic Białegostoku trudno nie dostrzec. Urzekły one i Karola Buluka. Pozostał. Zaczął organizować Katedrę Patologii Ogólnej i Doświadczalnej.

W 1954 r. uzyskuje tytuł docenta. Rok później ogłasza rozprawę o odkrywaniu płytek krwi XIII czynnika układu krzepnięcia. Uznanie w medycynie za priorytetowe.

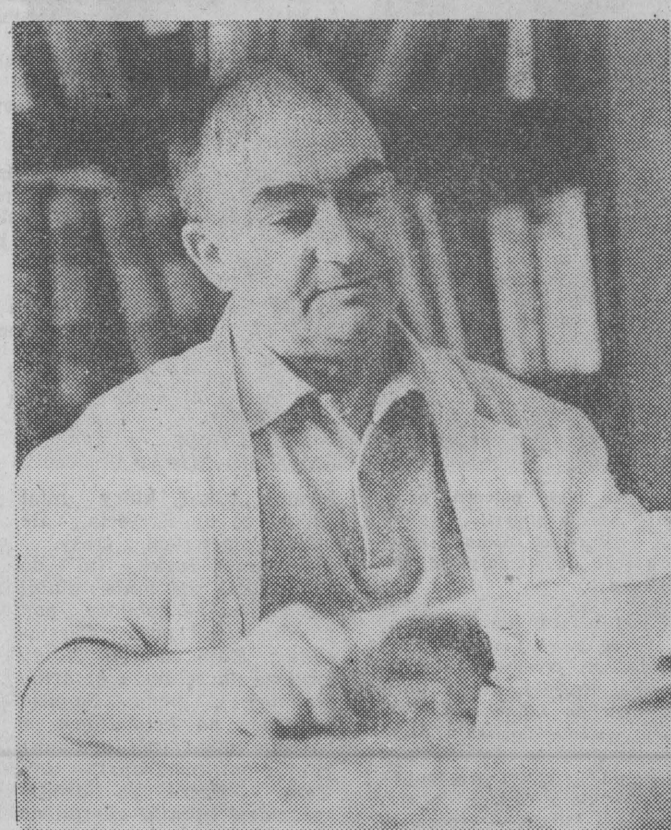
MUSIAŁEM SIĘ SPIESZYĆ

Ważną pociągającą za sobą badanie nad kolejnymi specyficznymi zagadnieniami. W 1958 r. na podstawie pracy pt. „O desmofibrynie” otrzymał tytuł kandydata nauk medycznych (odpowiednik dzisiejszej habilitacji). Lata 60-te, zapoczątkowane tytułem profesora nadzwyczajnego, przyniosły dalsze sukcesy naukowe. Wokół niego tworzył zespół naukowy, grupując się pracownicy kliniczni zainteresowani badaniami eksperymentalnymi. Aktywnie działał studencki koło naukowe. W okresie tym Karol Buluk ze swoim zespołem, wykazując nieopisaną do tej pory „aktywną rolę” w trombinie na ostatnią fazę krzepnięcia — desmofibrinogenu — zmusza do zmiany dotychczasowych schematów hemostazy. Jako jeden z pierwszych w sposób doświadczalny udowodnił występowanie w osoczu krwi dwóch ściśle współdziałających ze sobą układów tzw. kininotwórczych.

— Kininy — wyjaśnia — to substancje, które działają na naczynia powodując natężenie bólu. Bardzo drobne cząsteczki, lecz niezwykle aktywne.

W 1973 r. Rada Państwa nadała mu tytuł profesora zwyczajnego.

— Akademia Medyczna w Białymstoku zawdzięcza panu, że stała się jednym z wiodących ośrodków w kraju, w badaniach nad krzep-



tak, jakby mlecz wisiał nad głową. Szereg jednostek chorobowych związanych jest bowiem z zaburzeniami układu krzepnięcia.

Zylem nauką, wciągała mnie bez reszty, fascynował każdy drobny krok do przodu. Z czym to porównać? — ożywia się po chwili zastanowienia — bardzo lubię chodzić do lasu po grzyby. Często się, gdy znajdę dorodny okaz. I coś z tego jest również w nauce.

Owszem, były momenty niepowtarzalne. Np. wtedy, gdy udało nam się dowiedzieć, że produkty rozpadu krwi wzmagają działanie niektórych czynnych substancji, które oddziaływały z kolei na naczynia krwionośne. To była przyjemna historia. Zainteresowano się tym odkryciem.

Dynamiczny rozwój hematologii w ostatnich dziesięcioleciach doprowadził do wyodrębnienia jej jako samodzielnej dyscypliny naukowej z innych dziedzin medycyny.

— Proszę zobaczyć, co się dzieje — wskazuje profesor na planszę z układem krzepnięcia krwi. — Zaczęło się od pięciu czy sześciu składników. Pierwszy schemat krzepnięcia składał się z wapnia, czynnika tkankowego, protrombiny, czynnika osoczkowego i proenzymu krzepnięcia, później doszło białko. I w zasadzie wszystko. A teraz? Ież tu odgałęzień, nowych rzeczy: hormony, substancje spoza krwi wpływające na ten proces, płytki krwi...

W życiorysie Karola Buluka oprócz bezpośredniej twórczości naukowej jest również bogata karta działalności organizatorskiej: kilkuletnia praca w sekcji medycznej Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego, okres siedmioletniej kadencji jako prorektora do spraw nauki, współorganizatorstwo Białostockiego Towarzystwa Naukowego, czynny udział w pracach TWP, w zarządach kilku towarzystw naukowych, przewodniczenie Komisji Fizjologii Krwi w Polskiej Akademii Nauk.

Profesor uchodził za tytan pracy — potwierdza jego uczeń, prof. Tadeusz Januszko — ceniliśmy go za poważny stosunek do nauki.

— Ale czy można to nazwać poświęceniem — zastanawia się profesor Buluk. — Widzieliśmy efekty, zdarzały się nawet stany euforii, gdy coś nam wychodziło.

Ostatnio udowodnił, że enzym, który powoduje krzepnięcie krwi, działa nie tylko wtedy, gdy jest uszkodzone naczynie, lecz jest stale obecny. Jak się o tym myśli — uśmiecha się — to

ALICJA ZIELIŃSKA

Reforma - banki - i co dalej?

czyli lepiej

O reformie gospodarczej dużo się mówi, ale nie zawsze tyle samo czyni. W każdym razie jest ona wciąż przedmiotem dyskusji, rozstrzygnięć i decyzji podejmowanych również na rządowym szczeblu. Szczególnie pieczołowicie rozważa się różne problemy związane z kolejnym, drugim etapem reformy. Dobrym tego przykładem było posiedzenie Rady Ministrów zwołane na początku września. Rozpatrzone na nim projekty — jak to określono — programu realizacyjnego tego etapu. Dokument ten, który zawiera wiele konkretnych propozycji różnorodnych przedsięwzięć we wszystkich dziedzinach gospodarki i życia społecznego, został przygotowany przez Komitet ds. Realizacji Reformy. Najogólniej charakteryzując dyskusyjny projekt programu można powiedzieć, że zawarte w nim propozycje przekształcenia warunków rozwoju społecznego-gospodarczego oraz mechanizmów ekonomicznych są skierowane na wyzwolenie społecznej aktywności i przedsiębiorstwa produkcyjnej, służącej prowadzeniu gospodarki i intensyfikowaniu jej rozwoju. Rząd zalecił przyspieszenie prac nad tym programem. Czas bowiem ucieka, a już w połowie października wspomniany program ma być rozpatrzony przez rząd.

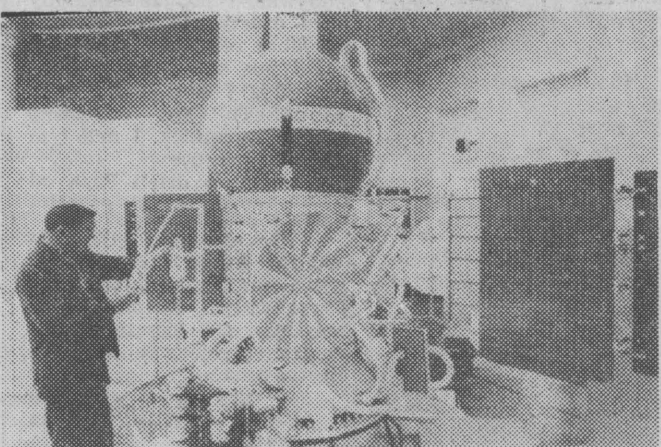
Nie jest przypadkiem, że na tym samym posiedzeniu, kiedy mówiono o reformie gospodarczej, na porządku dziennym znalazł się temat, który dotyczył naszej bankowości. Podjęto mianowicie decyzję o wydzieleniu z Narodowego Banku Polskiego i utworzeniu Banku Państwowego pn. „Powszechna Kasa Oszczędności”. Krok ten zapoczątkowuje bowiem proces generalnej przebudowy systemu bankowego w sposób, który lepiej dostosowałby działalność banków do zreformowanych zasad funkcjonowania całej gospodarki. Warto tu podkreślić, że zakres nowo utworzonego banku będzie znacznie szerszy od tego, jaki obowiązywał w powszechnych kasach oszczędności. Krótko mówiąc, zakres ten obejmie nie tylko usługi bankowe dla ludności, ale także np. kredytowanie inwestorów mieszkaniowych oraz innych jednostek gospodarki uspołecznionej i nieuspołecznionej.

ANDRZEJ HETMANEK

Jak widać — z bankami nie ma żartów. Nieraz podkreśla się w różnych publikacjach, a potwierdza to życie, że banki są sędzią surowym, ale i sprawiedliwym. Ze społecznego punktu widzenia trzeba stwierdzić, że ta surowość i sprawiedliwość jest we wszech miar słuszną i potrzebną, jeśli chcemy wyprowadzić naszą gospodarkę na prostą i pozbyć się owej przysłowiowej „kułi u nogi”, która w postaci źle pracujących zakładów i przedsiębiorstw, będących na garnuszku państwa, ciągnie naszą ekonomikę do tyłu. W drugim etapie reformy nie będzie już miejsca na takie „luksusy”.

Rozpoczęły się „Dni Nauki i Techniki Radzieckiej w Polsce”. W warszawskim Pałacu Kultury i Nauki radzieckie osiągnięcia naukowo-techniczne ilustruje ponad 1,5 tys. eksponatów, a wśród nich m.in. urządzenia elektroniczne, sprzęt medyczny, radzieckie modele statków kosmicznych, komputery i automatyka przemysłowa.

NA ZDJĘCIU: fragment ekspozycji modeli stacji kosmicznych. CAF — S. WOJNO



W poniedziałek, 5 października br. podczas uroczystości inauguracji roku akademickiego prof. Karol Buluk otrzymał tytuł doktora honoris causa Akademii Medycznej w Białymstoku.

KRONIKA prawie intymna

JANUSZ RYSZARD FIGURA, lat 40, historyk i dziennikarz („Lepsze walczą we mnie z gorszym, dziennikarz wypiera historię, albo odwrotnie”), ppłk służby czynnej, żona Wiera — ekonomistka; synowie Paweł — uczeń szkoły podstawowej, Mateusz — 3 miesiące; ostatnio publicystą, kierującą Działem Historii w redakcji „Wojsko Ludowe” w Warszawie, został dyrektorem Muzeum Wojska w Białymstoku. Z miastem tym związany jest emocjonalnie i rodzinie, tu chodził do szkoły nr 14.

W dorobku ma ponad 300 publikacji w periodykach wojskowych i społeczno-politycznych, trzy książki: „Współautorstwo”, „Nadzieje i rzeczywistość kultury” (wybór publicystyki 40-lecia), w br. ukaza się „Władcy świata. Dzieje imperiów” oraz „Dymy na przedpolach” (dziej 30 polskiej dywizji piechoty). W przygotowaniu zbiór opowiadań z lat wojny i okupacji „Ognie pamięci”. Hobby: zbieractwo miniatur wojskowych, szachy, filatelistyka (stemple i pierwszy dzień obiegu). Ma dużą bibliotekę.

wansował na dyrektora Wojewódzkiej Dyrekcji Inwestycji w Białymstoku.

Ostatnio przebywał na kontraktach w Algierii, pracował jako jedyny Polak w przedsiębiorstwie budującym osiedle mieszkaniowe i stadion, pełniąc stanowisko, będące odpowiednikiem naszego szefa produkcji. Po przednim był zastępcą dyrektora Wydawnictwa Budownictwa Urzędu Wojewódzkiego, a jeszcze wcześniej m.in. budował osiedle mieszkaniowe Hut „Katowice”.

Hobby: muzyka, podróże, książki. Ukończył średnią szkołę muzyczną, klasa organów („Kiedy jestem wściekły, siadam do fortepianu i wtedy się uspokajam”).

Często zagląda do „Traktatu o dobrej robotce” Tadeusza Kotarbińskiego, którego uważa za swojego mistrza.

Maksyma: Pracujemy, bo musimy, ale skoro musimy, niech to będzie przyjemnie, niech to będzie komfortem codziennym.

ROMAN MAZURKIEWICZ, lat 47, inż. budownictwa lądowego, żona Antonina — prof. szkoły średniej, córka Magdalena — studentka angilistyki, synowie: Tomasz — uczeń historii UW, Michał — uczeń szkoły podstawowej; dotychczasowy zastępca do spraw środków produkcji Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Komunal-

nego w Białymstoku, został dyrektorem tegoż przedsiębiorstwa.

W budownictwie komunalnym pracuje 14 lat, poprzednio w przemyśle materiałowym budowlanych. Za najtrudniejszy problem zawodowy uważa utrzymywanie oddechu pracowników z budownictwa, poprawę warunków socjalnych.

Sposób na odpoczynek: ogródek, wędkarstwo, grzybobranie.

BAZYL NIEDZIEWICKI, lat 51, dr nauk humanistycznych, żona Luba — gł. księgowy, syn Sławomir — nauczyciel wychowawca bursy szkolnej, córka — Jolanta — nauczycielka, syn — Andrzej — pracownik GS; ostatnio inspektor Oświaty i Wychowania w Bielsku Podlaskim, został dyrektorem Zespołu Szkół Ekonomicznych.

Ukończył prawo administracyjne na UW i wydział humanistyczny Instytutu Pedagogiki UG, specjalność organizacja i zarządzanie oświatą. Pracę doktorską pisał na temat problemów organizacji i zarządzania oświatą w podstawowych ogólnych administracji państwowej.

Ma za sobą 33 lata pracy pedagogicznej. Był m.in. nauczycielem i kierownikiem szkoły podstawowej w Nowej Woli, którą sam ukończył oraz nauczycielem i dyrektorem LO w Michalowie, której jest absolwentem.

Uczestniczył w pracach zespołu konsultującego projekt zarządzeń Ministerstwa Oświaty, m.in. regulaminu rady pedagogicznej i kodeksu powinności etycznych nauczycieli PRL.

Jest autorem 70 publikacji, z tego 30 w czasopiśmie naukowym. Trzykrotnie otrzymywał nagrody ministra Oświaty i Wychowania. Wychowa: działka.

Ktoś mógłby zapytać czy jest to przedsięwzięcie celowe, skoro wystąpienia te publikowane są systematycznie na łamach prasy, emitowane — we fragmentach bądź w całości — w telewizji i radiu? Pozytywną odpowiedzi na to pytanie nie udaje najmniejszej wątpliwości. Słowo mówione żyje krócej niż pisane, takie już prawo tej odmiany języka. Czasopismo pozostaje mniej trwałe niż książka, czasem żyje tylko jeden dzień. A przecież każdy z publikowanych tekstów to cenny materiał źródłowy dla przyszłych historyków i badaczy dzieł najnowszych. Każde wystąpienie to żywy dokument epoki, świadectwo czasów trudnych i ciekawych.

„Przemówienia 1986” Wojciecha Jaruzelskiego, zebrane i wydane w jednym tomie, to także pomocna i niezbędna lektura dla działaczy partyjnych, w których to bibliotekach winna znaleźć się obywatel. Bez tego z pewnością użyteczna będzie w podejmowanych działaniach merytorycznych, lecz także stanie się wzorem redagowania wziętych i logicznych wystąpień. Najlepiej uczymy się bowiem przez dobry przykład.

Przemówienia te stanowią wreszcie doskonały materiał do studiów retorycznych i stylistycznych analiz, czemu w przyszłości warto byłoby poświęcić uwagę i oddzielne opracowanie. Byłaby to też lektura wielce kształcąca.

Prezentowane w nowym zbiorze materiały są przejrzyste, komunikatywne i klarowne, napisane piękną polszczyzną. Autor przemówień wielką wagę przywiązuje do kultury języka, którą tak często podkreśla i eksponuje w swych wystąpieniach. Język jest bowiem skarbnicą narodowej mądrości, wyznacznikiem tożsamości i świadomości narodowej. „Wytoczyć człowieka krowę — pisał Ka-

rol Libelt — a ubiegnie z nią i życie jego. Wytoczyć z narodu język, a ubiegnie z nim żywot jego. Naród żyje, dopóki jego język żyje; bez języka narodu nie ma narodu”. Ta świadomość powraca w licznych przemówieniach Wojciecha Jaruzelskiego, który wciąż apeluje o czystość polskiej mowy: „W księgarniach pojawiły się podręczniki językowe, przybyło słowników i leksikonów. Wzmogła się krytyka ułomności i zachwaszczek. Ale wszyscy wiemy, że na łamach prasy, falach radio-

rol Libelt — a ubiegnie z nią i życie jego. Wytoczyć z narodu język, a ubiegnie z nim żywot jego. Naród żyje, dopóki jego język żyje; bez języka narodu nie ma narodu”. Ta świadomość powraca w licznych przemówieniach Wojciecha Jaruzelskiego, który wciąż apeluje o czystość polskiej mowy: „W księgarniach pojawiły się podręczniki językowe, przybyło słowników i leksikonów. Wzmogła się krytyka ułomności i zachwaszczek. Ale wszyscy wiemy, że na łamach prasy, falach radio-

Uboaga polszczyzna, swoisty żargon, drażniące słuch naleciałości nie omijają również naszej partyj, innych ośrodków życia społecznego, politycznego, a nawet naukowego i kulturalnego.

Głównymi źródłami znajomości mowy oczystej są dom i szkoła. W domach jest — i trudno, żeby nie było — różnie. Tym donioślejszym obowiązkiem wszystkich szczebli i typów szkolnictwa jest dbać o czystość, o urodę języka. Polonisci nie mogą pozostać osamotnieni!” (s. 20)

Omawiana publikacja obejmuje przemówienia polityczne i programowe, okolicznościowe, wywiady dla zagranicz-

nych czasopiśmie oraz ośrodków telewizyjnych i radiowych, jak również wystąpienia na konferencjach prasowych. Materiały ułożono w porządku chronologicznym. Pewne uchybienie stanowi brak autorów niektórych wywiadów, np. „Wywiadu dla francuskiego dziennika „Le Monde”, opublikowanego 5 marca 1986 roku. By poznać autora — wyparzyć trzeba się do Paryża! Niedokładność wydawcy (?), redaktora (?), a może autor zastrzegł sobie anonimowość denerwującą czytelnika, wstydził się za-

wej z uczestnikami spotkania „Jabłonna VI” w grudniu 1986 roku przez włoskiego dziennikarza: „Jakie są przeszkody w realizacji Pańskiej wizyty we Włoszech? Jeśli zostaną już pokonane, to jaka jest ewentualna data przedwywidywanej podróży?”. Wojciech Jaruzelski odpowiada: „Przypomina mi się pewna anegdota. Camillo Cavour, włoski mąż stanu XIX wieku, wyznał kiedyś, że ma niezawodną receptę na zwodzenie dyplomatów. Po prostu mówi im prawdę. Nigdy mu nie wierzą.”

Podróże dyplomatyczne mają między innymi to do siebie, że plany ich realizacji nie są nigdy przedmiotem publicznej dyskusji” (s. 361).

Jeden z ciekawszych wywiadów to bez wątpienia ten dla węgierskiej telewizji oraz radia, emitowany 22 lipca 1986 roku. Interesuje nas nie tylko życie zawodowe wieloletniego polityka i sprawy od tej działalności odleglejsze. Chętnie zaglądamy za kulisy. Do ich odsłonięcia nakłania rozmówcę węgierski dziennikarz: „Słyszałem taką plotkę jeszcze w roku 1982, że Towarzysz General nie zawsze ma czas na odpoczynek w domu, ale że często odpoczywa w swoim gabinecie, śpi na wojskowym łóżku. Kiedy Towarzysz General mógł więc odpoczywać?” (s. 57)

Przemówienia często ożywia anegdota. Na pytanie postawione na konferencji prasowej:

Oczywiście, życie jest trudniej jest znieść dziennikarza, zwłaszcza tak wybitnych, jak tu obecni.

Publickowane wystąpienia dotyczą różnych sfer naszego życia, cechuje je szczerść i otwartość, realizm i trzeźwość sądów. Wywiady Wojciecha Jaruzelskiego, pełne taktu i dyplomacji, nie pozbawione są dowcipu oraz humoru. We wspomnianym rozmowie pada pytanie: „Francuska opinia różnie zareagowała na Pański przyjazd, a sam premier oświadczył, iż jest „zakłopotany”. Jak przyjął Pan te oświadczenia?” Wojciech Jaruzelski rozpoczynając swą odpowiedź: „Wybaczy Pan, ale nie mogę poradzić na „zakłopotanie” pana premiera. Mogę mu jedynie życzyć, aby nie miał większych zmartwień niż moja wizyta w Paryżu” (s. 57)

Przemówienia często ożywia anegdota. Na pytanie postawione na konferencji prasowej: Oczywiście, życie jest trudniej jest znieść dziennikarza, zwłaszcza tak wybitnych, jak tu obecni.

Odpowiedź: Tak się w moim życiu składało, że zawsze pracowałem bardzo dużo. Jako minister Obrony Narodowej wracałem z reguły bardzo późno do domu. Poza tym wyjazd na poligon, ćwiczenia. Bywało, że trzy, cztery noce pod rząd w ogóle nie spałem, nawet dziwiono się, że to wytrzymuję. Pod tym względem mam kondycję dobrą.

Lata 1980, 1981, 1982 wprowadziły w moim życiu jeszcze ostrzejsze rygory. Było to nie tylko dużo czasu, który trzeba było poświęcić na pracę, ale ogromne napięcie, wysiłek psychiczny i, istotnie, często nie wychodziłem z mojego gabinetu. Spałem nie na łóżku polowym, ale na wąskiej kanapie. Przenoczałem na sen jedną czy dwie godziny.

Zdarza się to również i obecnie, ale już znacznie rzadziej, w pewnych wyjątkowych sytuacjach, kiedy trzeba wykonać jakąś bardzo pilną pracę, kiedy są bardzo duże zadania. Jedyną od roku 1983 po prostu normalizację w kraju, i w moim życiu także, daje się zauważyć” (s. 232—233).

Myślę, że cytowane fragmenty prezentowanej książki zachęca do jej lektury nie tylko tych, którzy na co dzień parają się polityką. Sądzę, że sięgnie po nią także młodzież, której problemom tak wiele poświęca się tu miejsce.

Warto zerknąć w to zwierciadło czasów, w których żyjemy. I nie tylko nauczyć się mówić o nich — rzeczowo, zwięźle i po polsku, lecz słowa połączyć z czynami. Intelkt wesprze sercem i ręką.

TERESA ZANIEWSKA

Wojciech Jaruzelski, Przemówienia 1986, Książka i Wiedza, Warszawa 1987, s. 448. Wydanie pierwsze. Nakład 23 000 egz., cena zł 400.

Proszę państwa ja wiem jak to zrobić! Wierzcie mi...

Ciąg dalszy ze str. 1

Jest już przygotowana. Czyli po pierwsze: wiedza i precyzja, a potem dopiero emocja. I taka powinna być kolejność. Inna jest niedobra. Na nic najwspanialsze fantazje i wyobrażenia, jeżeli nie umiem napisać słowa.

Musi istnieć uporządkowanie pewnych elementów. Nie można tego odwrócić. I ja tego przestrzegam. Jeżeli coś nam nie wyjdzie, biorąc odpowiedzialność na siebie. Ja jestem szefem. Wina jest we mnie.

— Chyba Pan trochę przesadza. Nawet jeżeli jakiś instrumentalista „położy” cały utwór, winę ponosi dyrygent?

— Ja muszę to przewidywać. Są rzeczy, których nie da się zaplanować, ale możemy o tym, co jest do przewidzenia i te rzeczy musimy spełnić się dokładnie, precyzyjnie, tak jak założyliśmy.

Jako kompozytor mogę powiedzieć, że nie wiem jaką nutę mam teraz napisać, jako dyrygent muszę wiedzieć wszystko. Muszę zawsze wiedzieć i stać się wieść, że zrobię to najlepiej. Profesor Wroński powiedział kiedyś: „Jeżeli Pan dyryguje jakimś utworem, musi pan wierzyć, że pan to zrobi najlepiej”.

— I ja to wieszę. Bogdymy myślał inaczej, to nie byłbym fachowcem. A ja uważam się za fachowca.

Kiedys podczas próby z orkiestrą gdańską powiedziałem: „Proszę państwa, ja wiem jak to zrobić, wiercie mi...”

Wiem, że nie może tego powiedzieć człowiek, który nie ma za sobą doświadczenia w postaci współpracy z najlepszymi zespółami. Ja mam to doświadczenie.

— A co daje Panu współpraca z orkiestrą z Głogowa?

— Ogromną satysfakcję! Nagrywamy w ciągu jednego tygodnia mniej więcej trzy godziny muzyki. Pracujemy w dwóch sesjach — od godz. 10 do 13 i od godz. 14 do 19. Nigdy tak nie pracowałem. Z każdym innym zespołem pracuję połowę tego czasu. Czyli tam jest podwójna praca, a wobec tego i podwójny rezultat. Tam po prostu tak się pracuje, ja tylko temu podlegam.

— A jak Pan sądzi, co daje orkiestrze współpraca z Panem?

— Chciałoby to, że możemy koncertować w Białymostku. (Uśmiecha się). Kiedy już nic nie będzie dawała, przestanie być angażowany. To bardzo proste.

— A jakie ma Pan zamiary wobec tego zespołu?

— To nie ja miałem jakieś zamiary. To ktoś inny miał określone zamiary. Mnie powierzono tylko ich realizację.

— Szukano człowieka, który zna się na smyczkach i ma spowodować, żeby ta orkiestra wspaniale grała. Wybrali na mnie i ja to robię.

— Czyli wszedł Pan na brytyjski rynek muzyczny jako autorytet, ten najlepszy spośród innych?

— Może tak... (uśmiecha się i sięga po papierosa).

— I w ciągu kilku lat zdobył Pan mocną pozycję na rynku muzycznym, uchodzącym za jeden z najtrudniejszych na świecie...

— Są większe, na przykład amerykański, którego jeszcze nie zdobyłem.

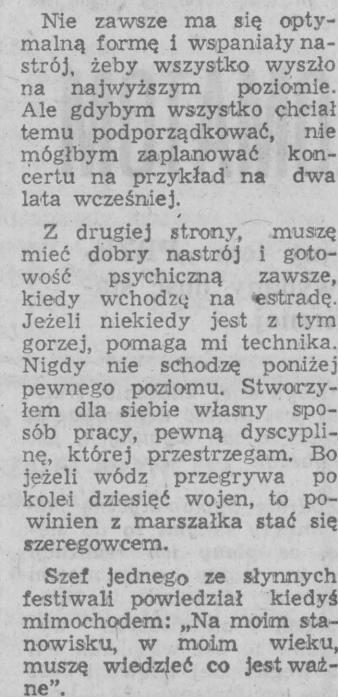
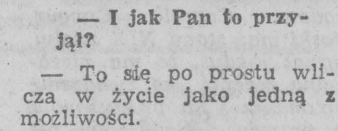
— Ale wszedł Pan do czołówek dyrygentów na świecie. Czego więcej można chcieć?

— W kraju mnie przeceniają. Natomiast na świecie... Wiele jest wspaniałych dyrygentów w moim wieku, chociażby Zubin Mehta.

Natomiast często sobie powtarzam: od czasów Mieszka I na ulicy Słonecznej nie urodził się większy dyrygent, niż Jerzy Maksymiuk. No, czy tak nie jest? (Śmieje się).

— Umie Pan wygrać, o tym już prze-konaliśmy. A czy sądzi, że Panu prze-gra?

— Owszem, zdarzył mi się.



— Zawsze rozmawiałem z Panem. Może to także wina dziennikarzy, sposobu zadawania pytań. Tak naprawdę trudno uwierzyć, że czyście życie to tylko: koncertowanie — studiowanie partytury — koncertowanie. Do poduszki też Pan czyta partytury?

— Rzeczywiście, czasami niezbędny jest taki obszar czasu wolnego. Ale tak się dzieje, że ja go naprawdę nie mam. I jest to dla mnie bolesne i często o tym myślę.

Bo ja jestem ciągle we fraku. Stale dyryguję. Mam ustalone terminy do 1992 roku. Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł posiedzieć ze dwadzieścia godzin tygodniowo nad partyturą.

Chociaż... to wspaniale, że ludzie nas potrzebują, że oczekują na występ orkiestry.

— I znowu się okazuje, że wszystko w Pana życiu jest takie nieskazitelne, precyzyjnie zaplanowane. Ma Pan w ogóle jakieś słabości?

— Oczywiście. Na lekcji biologii potrafiłbym wymienić najwyżej pięć gatunków drzew, więcej nie znam.

— A jako dziecko był Pan grzecznym chłopcem, czy może obrywał Pan łanie?

— Obrywałem!

— Pamięta Pan za co najbardziej dostał Pan w szkole?

— Za niesubordynację.

Ojciec zawsze mnie uczył, że wszystko mam robić najwspanialej. A dzieciom nie zawsze to wychodzi. Kiedyś w szkole w obecności innych dzieci potrafiłem mnie na kolana. Miałem do niego o to żal. Ale potem podobnie postępowałem.

— Też kogoś stawiał Pan na kolana?

— Nie, ale ryzykowałem często bardzo wiele. Nawet jeżeli nie wiedziałem, czy to jest dobre posunięcie. Okazywało się, że niekiedy taka drastyczna metoda daje dobry rezultat.

Bo jak spowodować koncentrację i nie uciec z wielką? To jest strasznie wielka tajemnica. I nad tym obecnie pracuję.

— A co dzieli Pana od doskonałości, bo przecież Pan do niej dąży?

— Na przykład kilka utworów, których nie wykonałem. Nigdy dotąd nie dyrygowałem Brahmsa, nie mógłbym też jeszcze poprowadzić niektórych symfonii Beethovena.

— Czy żyjąc w takim tempie ma Pan czas na przyjaźnie?

— Niewiele mam czasu, ale zawsze go znajduję, żeby przyjechać na koncert do Białegostoku, albo do Bydgoszczy, bo wiem, że tam na mnie czekają zyczliwi ludzie.

— Chodzi mi raczej o kontakty z konkretną osobą...

— No... to nie takie proste. W zasadzie musiałbym mieć najpierw czas dla siebie, ale go nie mam. Postaram się to teraz zrobić, chociaż... musiałbym wtedy zrezygnować z koncertów. No i jak to pogodzić?

— Francuski dramaturg Claudel napisał kiedyś coś takiego: „Nadmierz zainteresowań i pracy to grzech, jak rozpusta, i tak samo zniechęca serce”. Co Pan o tym myśli?

— Bardzo piękne i bardzo prawdziwe. Ale w życiu tak już jest, że nie wystarczy dać się zmienić.

— Powróćmy na koniec do muzyki. Białystok jest początkiem wielkiego tournée BBC Scottish Symphony Orchestra po Polsce?

— Właśnie w Białymostku rozpoczynamy. Bardzo chciałbym, żeby tak było i to się spełniło. Potem koncertujemy na „Warszawskiej Jesieni”, a następnie gramy we Wrocławiu, Poznaniu, Bydgoszczy i Gdańsku.

— Życzę udanych koncertów i dziękuję za rozmowę.

OLGA PACEWICZ

Okolice pierestrojki (2)

Słodka trzdziestka. Na polskich zegarkach dwie godziny wcześniej. Dźwięk budzika świadczy w uszach, podrywa na nogi gospodarza i sąsiadów z baraku w bazie „Energo-polu”. Śniadanie, poranna toaleta, trochę krzątania. Rutynowe zajęcia wymieszane ze sobą w spartańskich warunkach budowy „rurociągu jamburskiego”.

Na polach wokół polskiej enklawy w rejonie Kobrynia siedzą gęsto, jesienią mgła. Chłód i wilgoć natychmiast trzeźwią niedospianych. Wysypują się ze swoich kawalerki i dwuosobowych pokojów, wsiadają do firmowych autobusów. Ci z dyrektora mają najbliższą. Kwadrans na skróty w szpalery chałup wioski Pietki.

Jerzy Naumnik dociera przed czasem do swojej transportowej chatki usytuowanej między portiernią i wszystkimi świętymi. To nie nadgorliwość, lecz zwykła konieczność: urzędowych godzin może nie wystarczyć na skoordynowanie pracy 130 pojazdów i około 50 koparek, spycharek, dźwigów samojedynych. A pan Jerzy jest właśnie szefem transportu w dystryktu czyli kierownikiem zespołu do spraw sprzętu, transportu, spedycji i ubezpieczeń. Odpowiada za sprawność i dyspozycyjność pojazdów.

Właściwie, odkąd pamięta, zawsze miał podobne zadania: w białostockim PKS, w Wydziale Komunikacji Urzędu Wojewódzkiego, wreszcie w Wojewódzkiej Kolumnie Transportu Sanitarnego. I może do dziś woliby służbę zdrowia i jej podopiecznych po Białostoku, gdyby nie prozaiczna potrzeba zdobycia gotówki na skończenie domu i doinwestowania rodziny.

Smak zagranicznego kontraktu, nowe środowisko, sprawdzian w trudnych warunkach. To też się liczy, ale zarobki i to w rublach każdy z kilkuset delegowanych przez „Energo-pol” stawia w tej hierarchii celów i kryteriów bardzo wysoko, zawyżając na pierwszym planie.

Dziwota dziesięć, operatywa i naczelny. 8 uczestników. Krótka informacja o sytuacji na kilku placach budów rozsypanych po Białorusi i Ukrainie od Młńska po Kijów i Lwów. Dziś będzie głównie o Michanowiczach, gdzie przygotowuje się bazę i front inwestycyjny. Wszystko musi być zapieczętowane, żeby zima nas nie wydmuchała. Przerzuty zrzutu, ludzi; zanim do cięgnię z kraju ekipa spawaczy, należy przewieźć parę „tutejszych”.

Dyrektor Andrzej Skrzypiec nie musi prowadzić akademickich dysput, że organizacyjnie jest to problem zupełnie nowy, że peryferie Mińska to nie Kobryń, że brakuje tam nie tylko materiałów i kadry, ale nawet lyżek i talerzy.

Równocześnie rusza do Brześcia zmasowany transport. Rozpoczyna się budowa dużego bloku mieszkaniowego dla gazowników, a w przyszłym roku rozbudowa Zakładu Aparatury Gazowej. Naumnik wpisuje



do notosu treść poleceń, przekazuje własne sugestie. Jeszcze kilka rzeczowych uwag i można wracać do transportowego gładzika.

A jednak nie, nie można... 10 wozów „Jazników” już na trasach. Wydawało się, że pojechali wszyscy, którzy mieli cokolwiek do zafatwienia, ale wtedy właśnie dociera nagła decyzja: kurs do Kobrynia z gośdami. Krótki rachunek wozów i kierowców. Niestety, nawet pan Mietko — copeniarz — podjął dziś nysę w teren.

żerami „żuka”, który miał ich wieść do Brześcia, ale jeszcze nie wrócił z trasy.

— Panie Jurku (to do Naumnika), jak mi nie diabli nie wezmę — zobacz pan pierwszy ciud poza Czerwonochem. Mam załatwić bilet lotniczy naczelnemu (godzina w koleje), pana Bogusia podwieźć na konsultację w sprawie wind (pół godziny), zabrać go (kwadrans) — wylicza. Jeszcze po drodze sprawdzić liczniki energii na placu budowy i jak tak

Transportowe nerwy

Naumnik wskazuje za kółko torpedy zwanej swojej „niwą”. Co by to był za szef transportu, gdyby sam nie umiał prowadzić albo zrespektować pojazdu.

Mija godzina. „Cholera, już jedenasta! Najwyższy czas na sprawdzenie ustaleń z poprzedniego dnia i skorygowanie bieżących dyspozycji”.

W Brześciu u zbiegu ulic Barykadnej i Puszkinińskiej ruch jak w mrowisku. Dwa tygodnie temu był tu pustki. Dziś „krazy” wywołują „urobek” spod kopy, wykop rośnie w oczach, skromne zaplecze nabiera kształtów. Tymczasem w bazie w Pietkach odległej o 60 km nabrzmiewa problem rozliczeń paliwowych i zamówień na rok następny. Personel transportowy głowi się jak dopasować realia do radiotelefonu i uzależnić przydziały oleju napędowego od wartości przerobu na budowach, jak tego chce partner.

Naumnik huzy w słuchawkę, bo jest właśnie pora zamiejscowych rozmów z bazami. Z Bogorodzianami koło Iwanofrankowska trudno się dogadać: głos jak z zaświatów.

Na podjazd wchodzi ciężarówka „Jelcz”. Zajeżdża w drodze z Charkowa do kraju. Ma rozbić kamieniem przednią szybę. Kierowca prosi o pomoc, gdyż w kabinie nie ma zwykłych pracownic.

Przed drzwiami niewielkiej, Naumnikowej kancypy gęstnieje tłumek. Kazimierz Dunaj, specjalista od wyjazdów i przyjazdów, czyli kadrowego ruchu narastającego z dnia na dzień, zaczyna się niecierpliwić. Nerwowo dyskutuje z kilkoma pasa-



JERZY NAUMNIK tym razem pojedzie jako kierowca i szef transportu w jednej osobie.

dalej pójdzie to wszędzie wpuścimy się w pierzyny. Stracimy znów godzinę, bo wiadomo, że u nich obiad ważniejszy od pana Bogusiuwych negocjacji... A tych nowych z bagażem, co to ich mamy odebrać z dworca, pewno apopleksja zabije, gdy będą na nas czekać.

Pan Kazio krztusi się własną elokwencją, gdyż właśnie podjeżdża „żuk” czyli blaszana pudło z firmową etykietą „Energo-pol”. Po chwili nadawany pasażerami i epitetami odpała jak rakietka.

Naumnik wykiwał się już z bazami. Właściwie to te kłopoty nie mają, bo szef spokojny, cieższego słowa nie rzuci. Aż dziw że na posłuch w sławku operatorów i kierowców, gdzie nie tak trudno o guza i nerwice.

Pan Jerzy młota się przy telefonach. Nadawanie, przyjmowanie, lektura pełna sprzeczności i niepokojów. Już trzykrotnie. Podróżnikowie z gdańskiego „Transbudu” i flakiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Maszynami i Budowni-

stwa Inżynierskiego w Czeladzi czekają na rekolekcje. Będzie trochę pretensji, smutków i napięć, bowiem należy rozdyktować sprzęt na jutro, a wozów i wszystkich co się rusza, ciągle jest za mało.

Konkrety, panowie, konkrety! Wnioski, propozycje i do dzieła. Nie ma czasu. Zaraz trzeba pędzić na warsztat, gdzie wysłuchanym wozom przyjdzie się wdziać i walorów użytkowych. Jutro o tej porze musimy ruszyć na budowę — reflektuje się Naumnik. — Tu koordynacja leci niejako hurtem, a tam w detalu. Nie trzeba patrzeć na ręce transportowcom, bo sami robią to dostatecznie dobrze, przynajmniej z tej strony granicy. Muszę jednak dogadać parę szczegółów.

Mija godzina, dwie. Zgłasza się Anatolij Strielczenko — przedstawiciel radiotelegrafu inwestora. W ruch idą dokumenty spedycyjne, padają sygnały o potrzebie transportowego wsparcia.

Siedemnasta z minutami. Wymarsz do bazy socjalno-bytowej na obiad. Zakupy w sklepie spożywczym, głęboki oddech i... do roboty. Kawalerka Jerzego Naumnika zamienia się w punkt dyspozycyjny.

Przybiega portier. — 130 km od Kobrynia stoi nasz „kamaz” z ładunkiem. Potrzebne natychmiast pogotowie techniczne z krótkim walek napędowym.

— Wie pan, redaktorze — uświadamia mnie Naumnik — zgromadziliśmy tu przede wszystkim pojazdy radiotelegrafu produkcyjne, ale w ulatunowy serwis i dostęp do części zamiennych. W pewnym sensie była to trafna decyzja, ale idealna sytuacja można sobie tylko wyfantazjować.

Anonimowy personel z działu transportu odpowiada na ucho: — Najbardziej przydały się „krazy” — ładowne i żrą paliwo na potęgę. Kiedy zaczynały się kłopoty z uzasadnieniem przydziałów (wie pan, jakie to odległości i w dodatku muszę być pokonywane za wyjątkiem okrojonej drogą węgla wyznaczonych tras), wpisuje się w rejestr nasze go taboru same „krazy”. — Po co nam tyle paliwa? — pytają nas. — Boście wyprodukowali takie zarlocone wozy! — powiadamiamy.

Gadu, gadu, a tu zbliża się dwudziesta pięć. Szykuje się nowa robotka. Pan Jurek odrywa się od tabel, wykresów i innych prac domowych, które cierpliwie piodzi i piodzi na północy do telefonu. Z przejęcia granicznego w Brześciu dzwoni kierowca z krakowskiego „Transbudu”. Wiesz z kraju ładunek do elektrowni smoleńskiej i chyba nie dowiesz, gdyż zapomniał wziąć z Warszawy radiotelegrafowe zezwolenie na przewóz towaru. Służba graniczna każe mu wracać, kierowca prosi o wsparcie.

— Spróbujemy rano załatwić zastępczy dokument — pociesza Naumnik. — Ale to nie zawsze okazuje się skuteczne — zwraca się do mnie. — Co kraj to obyczaj.

Jest noc, pora na kolację, lyk szampana i trochę wspomnień.

Gdyby nie ten ruch — konstataje pan Jurek — człowiek by zbiekował. Przecież kilka wieczorów kompletnej nudy, gdy nie działają już zupełnie inne. Kawiarnia zamknięta, sklepy w Kobryniu także, z propozycjami relaksu ubożuchno, a w środku coś skreca z tęsknoty za żoną, dziećmi. Tworzą szkoła na tej budowie. Na szczęście już przywykam do jej specyfiki...

ANDRZEJ POLAKOWSKI
Fot. autor

Sejm — „od frontu i kuchni”

... w encyklopediach

Ukazał się właśnie rok edycji 1987 czwarty tom drugiego wydania Encyklopedii Powszechnej PWN, zawierający m.in. hasło: SEJM. Przez zawodową ciekawość porównałem je z analogicznym, pochodzącym z wydania datowanego w 1974. Ośmieliłem się więc stawić czoła jakby nadzając za zmianami w naszym parlamencie. Jest więc mowa o tym, że Sejm IX kadencji wyłoniony został w myśl nowej ordynacji (29.05.1985), której inspiatorem i współtwórcą był PZON. Jest także mowa o nowych organach powołanych przez Sejm: Trybunał Stanu i Trybunał Konstytucyjny, a także Rada Spółeczno-Gospodarcza. Szkoda tylko, że zrezygnowano z innego zestawienia obrazującego jak to różne sprawy miały się w poprzednich kadencjach. Bywało np. i tak, że w całej kadencji 1985—1987 Sejm zbierał się w sześciu 13 razy, gdy dotychczas, dopiero na posiedzeniu 25 posiedzenia plenarne.

Posłowie w terenie

U progu sejmowej jesieni sporządziłem kolejny raport o działalności posłów w tzw. terenie w II kwartale br. Okazuje się, że w okresie tym (kwiecień—czerwiec) odbyło się 2433 spotkań poselskich z wyborcami, w tym 1704 w miastach, 728 wsiach. Zarządzano również 1325 dyżurów poselskich, w tym 1024 organizowane przez wojewódzkie zespoły poselskie. Raport mówi również o tym, że 8 wojewódzkich zespołów sygnalizowało nieuczestnictwo w spotkaniach 14 posłów, a 14 zespołów informuje o absencji na wyznaczonych dyżurach 26 posłów. Warto chyba powrócić do tej sprawy już po raz trzeci.

Dlaczego nie w gazecie?

Inaugurację sejmowej jesieni przy ulicy Wilejskiej okrasza ekspozycja w tzw. dolnej palarni foto-wystawa Leszka Łożyńskiego pt. „Rzeczpospolita przedstawia Sejm IX kadencji”. Kilkadziesiąt fotografii świadczy o mistrzostwie autora (nie podkradzionego) swego czasu przez rządowy dziennik z interpretacją. Dominuje przy tym opinia: „Dlaczego takich obrazków z życia Sejmu nie znajdujemy na łamach gazet, wypełnianych przez niego — również jak gdzieś o fotografii — ugrzeszczona celebraz?”

Kto był i gdzie przemawiał?

Niedawna wizyta w Sejmie PKL kanclerza Austrii F. Vranitzky'ego stała się dla sprawozdawców parlamentarnych okazją do przypomnienia sobie i innym zagranicznych gości, którzy tutaj wcześniej przebywali i występowali publicznie. Okazało się, że oficjalne wystąpienia na forum naszej komisji spraw zagranicznych mieli tylko dwaj ówczesni kanclerze RFN Willy Brandt oraz wspomniany już Franz Vranitzky, natomiast przed polskim parlamentarnym plenum występowali dotychczas tylko dwaj wyższej rangi zagraniczni goście: gen. Charles de Gaulle oraz Leonid Breżniew.

Wyjatek od reguły

Nie przystoi dziennikarzowi podpisywać się z błędem typograficznym. Proszę więc potraktować poniżej jako wyjątek potwierdzający regułę. Ale sprawa jest wyjątkowa „smaczna”. Oto w jednym z druków z ulicy Wilejskiej czytamy: „Proponujemy uwzględnić przedstawicieli Liigi Kobiet Polskich oraz organizacji związanych z ochroną środowiska (np. Licha Ochrony Przyrody)”. Szo oczywiście o Lięg, ale trudno zaprzeczyć, że maszynista i korektorka nie były znow tak dalekie od prawdy...

Sprawozdawca

Leszczyński nie chce do tego raj. Ma 84 lata i prosi o jedno: Pozwólcie mi dożyć pod swoim dachem, zostawcie mi kawałek polećka

Urzednicy od wysiedleń znają już WŁADYSŁAWA LESZCZYŃSKIEGO. — Ten starszy człowiek — mówią — płakał kiedy przychodził do nas.

— To są grobowce — mówi Leszczyński, wskazując na betonowe ściany 11-kondygnacyjnych bloków na osiedlu Słoneczny Stok w Białymostku. To moje życie, to moje wczasy... Nie ruszę się ze swojego domu.

Do domu schodzi z pola wówczas, gdy zajdzie słońce. Tak było przez całe życie. „Za Niemca” kopał tę ziemię nawet przy księżycu. Rece nie nawykły do próżnowania; piele trzy razy w roku, do gładka porzeczek. Wieczorami siedzi nawet do północy. Czyta gazety. Nie może usnąć. Potem zdrzemnie się na dwie-cztery godziny i budzi się. Myśli co z nim będzie, gdy go wywieszą. Aż mu się słabo robi od tego myślenia i tak jakoś strasznie.

Był kowalem. 42 lata pracował w pobliskim KZKS w Starosielcu. Cenili go tam. Dostał Srebrny, potem Złoty Krzyż Zasługi, odznakę „Zasłużony Białostoczczyźnie”. Drewniany domek, w którym mieszka, wybudował przed wojną. Musiał go postawić. Zbyt dużo płać za wynajmowany na poddaszu pokój. Przez rok mieszkał bez pie-

ca i dubeltowych okien. „Dubelty” wprawdzie były, ale na szyby zabrakło pieniędzy.

W miejscu, na którym stoi ów domek, za kilka lat będzie przebiegała ulica Gomułki, poszerzona do rozmiarów międzyosiedlowej arterii. Lesz-

wiedzieliśmy się że będą wyburzać. Do końca 1987 r. miało to być wszystko zrównane z ziemią. Na początku marca otrzymaliśmy do wypełnienia deklarację przystąpienia do spóldzielni mieszkaniowej. 13 marca zwróciłam przesłano mi wypełnione formularze stwierdzające: „Ja

mam dach nad głową i innego nie potrzebuję”.

Krystyna Szczepańska założyła teckę z dokumentacją i skorowidzem, gdzie, do kogo i po co chodziła. A chodzi po urzędach pół roku. Często po dwa, trzy razy w tygodniu. Na własną bywała codziennie. Przecież przez ten dom poszła na przyspieszoną o cztery lata emeryturę. Wiedziała, że dwóch „etatów”: zawodowego i roli załatwiacza, mimo dobrego zdrowia nie pociegnie.

Zna priorkiarni przestrzennego zagospodarowania. Wie, że w miejscu gdzie stoi jej dom, nie przewiduje się żadnej wielokobkowej zabudowy.

80 metrów od posesji ma przebiegać ulica Gomułki i nieco bliżej Elcka.

— Znajdujemy się — mówi — w „strefie izolacyjnej” ulicy. Z całą świadomością przyjmujemy na siebie ciężar mieszkanka przy komunikacyjnych ciągach. Chemy jednak tu

zostać. Projektantka z „Inwestprojektu” powiedziała mi, że według niej tego domu nie musi się wyburzać.

— Proszę sztykować się pod wyburzenie — usłyszeli

„Dzieci Arbatu” po polsku

W nr 25 września br. tygodnik „Przegląd” rozpoczął druk głośnej już powieści Anatolija Rybakowa — „Dzieci Arbatu”. Równocześnie publikację fragmentów tej powieści, wybranych pod kątem ukazania postaci Stalina i okresu kultu jednostki rozpoczął w nr 39 z 27 września tygodnik „Sztetka”.

Doskonałym wstępem do lektury „Dzieci

Arbatu” jest zamieszczony w nr 39 tygodnika „ITD” wywiad z Anatolijem Rybakowem przeprowadzony przez Ewę Kluczkowską.

„Dzieci Arbatu” ukaza się w ZSRR w nakładzie 200 tys. egz. W Polsce przekład powieści przygotowało Wydawnictwo „Iskry”, a chęć jej opublikowania zgłosiło już 80 wydawców na całym świecie. (P)

Barwne ptaki jesieni

Gdy tylko człowiek twardo stanął na ziemi, już poczuł zerkać w niebo i marzyć, aby jak ptaki, w górę, wśród przestworzy szwycować wciąż wyżej i wyżej...

Przez tysiąclecia urzeczywistniał te pragnienia, szukając „rozwiązania”, budując coraz to nowe maszyny — lotnie, balony..., aby dopiero współcześnie zawiązać swobodnie w kosmosie.

Potrzeby te drzemają w każdym z nas. I już od najmłodszych lat próbujemy przynajmniej częściowo spełnić to marzenie i puszczamy latawce. Stają się one jakby częścią nas samych. Za naszą wolą wznosi się i szwycuje.

Jesienne „Święto Latawca” na lotnisku Białostockiego Aeroklubu zgromadziło ponad setkę uczestników zrzeszonych w rozmaitych klubach i sekcjach.

Wiele może wybrać się na łękę i puścić latawca ot tak sobie. Bo jesień, i słońce. I jeszcze dalego aby popatrzyć w niebo...

Tekst i zdjęcia:
ANATOL CHOMICZ



Ambasady jak fortece

Podkomisja ONZ ds. praw człowieka poinformowała, że w latach 1984—1987 spośród członków personelu organizacyjnego Narodów Zjednoczonych na całym świecie 34 osoby były aresztowane lub więzione, 7 zaginęło, 5 straciło życie w podejrzanych okolicznościach, a 5 stało się ofiarami innych form naruszenia praw człowieka.

Naraził się nie tylko pracownicy ONZ. Największe niebezpieczeństwo grozi amerykańskim dyplomatom reprezentującym swój kraj na Bliskim Wschodzie, w Ameryce Środkowej, Europie Zachodniej i w wielu innych regionach. Władze USA zalecały w związku z tym podwyższenie i umocnienie murów amerykańskich ambasad i konsulatów. Sielany przedstawicielstwa USA powoli przemieniają się w fortece.

W stolicy Jordanii, Amman, ambasada USA otoczona została wałami z worków wypełnionych piaskiem. Wzmocniono strażę i zastosowano różnego rodzaju czujniki. Główne wejście ochroniają jordańscy komandosi. Na samochodzie pancernym, który krąży dookoła gmachu zamontowano 50-milimetrowy karabin maszynowy.

W bunkierze przemienia się ambasada USA w San Salvadorze. Osklepienie zostało opancerzone. Blachami, w okna zamontowano kuloodporne szyby. W przypadku zagrożenia, gdy zapada zmrok, dziesiątki reflektorów przesuwają się po polu. Personel przedstawicielstwa mieszka w dobrze strzeżonych domach.

Przed ambasadą USA w Paryżu, w pobliżu ruchliwych ulic Elizejskich, postawiono cementowe zapy — informuje „International Herald Tribune”.

Kwestionuje się dotychczasową koncepcję architektoniczną budynków przedstawicielstwa USA. Są one otwarte, przestronne, łatwo dostępne dla każdego.

Amerkańscy architekci mają zaprojektować nowy typ

budynku ambasady. Departament stanu złożył odpowiednie zamówienie w Krajowej Agencji Nauk. Na rekonesans wysłana została ekipa specjalistów. Myszkowali w 22 najbardziej niestabilnych krajach. Robert F. Lamb, zastępca sekretarza stanu do spraw administracji, dostał odpowiedni raport i wydał werdykt — trzeba natychmiast wznieść przynajmniej dziesięć nowych budynków, bowiem obecne nie gwarantują nawet minimum bezpieczeństwa. Chodzi przede wszystkim o siedziby amerykańskich przedstawicielstw na Bliskim Wschodzie i w Ameryce Środkowej.

Czy jednak te nowe rozwiązania budowlane odstraszą zamachowców? Dyplomaci przestali być dzisiaj bezpieczni. Terrorysty zorientowali się, że zamachy na obce przedstawicielstwa wywołują duży rezonans w świecie. Można w ten sposób zwrócić uwagę na sprawę, o którą się walczy. Można uzyskać okup. Można wrzeszcze znaleźć się na czołówkach gazet...

WACŁAW WIKTOROWICZ

ku ogromnemu zaskoczeniu po stronie pracowników Wojewódzkiej Dyrekcji Inwestycji, który odebrał im spokój.

Ci z Malmeda (z WDI) przyszli wyceniać dom i działkę. Morozowie ich nie wpuścili. Urzędnicy zjawili się więc w piątkę w towarzystwie milicjanta. To, co dla lokatorów było beczką — cisza, dom, ogród, pies, kilka kurek — wyceniono na 2,2 mln złotych. Sprawa trafiła do Naczelnego Sądu Administracyjnego, a Morozowa do szpitala. Przeży-

MIASTA

la pierwszy w życiu zawał serca. Przez trzy miesiące przewracając się na łóżkach. 8 maja br. NSA uchylił decyzję dotyczącą wywłaszczenia nieruchomości państwa Morozów, wydaną przez Wydział Geodezji i Gospodarki Gruntami Urzędu Wojewódzkiego. Werdykt miejscowych władz jest jednak Morozom nadal nie znany.

— Gdyby przyjechał tu spychacz — mówi pan Wacław — chyba serce by mi pękło. Jego działka ma prawie 1,5 tys m kwadrat. Godzi się na jej maksymalne okrojenie, byle pozostał dom (drewniany, w dobrym stanie) i kawałek ogrodu.

wyrastające w pobliżu wielokopciowe bloki. Domowi Talalajów nie graża żadna komunikacyjna arteria; ot po prostu tylko osiedlowa zabudowa. Boją się jej. Bo jeśli rzeczywiście, w odległości pięciu metrów od ich okien (tak przewiduje plan) stanie potężna betonowa ściana bloku, to oni sami stąd uciekną. Tylko dokąd? Czy nie będzie już za późno?

Może się nieraz wydawać, że coś to za problem przesiedlić dwoje starszych ludzi z ich domku do mieszkania spółdzielczego. A jednak! Te domy żyją nie tylko życiem owych dziadków czy babć, są

przystanią dla całej rodziny — dzieci, wnuków, często braci i siostr rozproszonych po Polsce. Babcia z bloku, to nie ta sama co np. z drewnianego domku z pokojkami na poddaszu, z werandą o oplecioną dzikim winem. Enklawa hojna nierzeczywiście, bo do niej jedzie się po zerwane prosto z krzaków truskawki, rozgrzane słońcem śliwki, wpada się na placki usmażone z ziemniaków „bez nawozów”. Tu pod osłoną drzew można czuć się jak na wczasach.

— Moi synowie — mówi jedna z rozmówczyń — ścigają tu nawet w wolne popołudnia. Cieszą się, że nie idą pod budkę z piwem, bo tu, nawet ze swoimi rodzinami, zawsze znajdują zajęcie



Wspomnienia o profesorze

natora języka polskiego — dr. Ryszarda Wroczyńskiego przy ulicy Staszica.

W swojej pracy „Oświata i tajne nauczanie na Białostocku” Maria Kolendo niejednokrotnie wspomina nazwisko profesora RYSZARDA WROCZYŃSKIEGO. Jego znajomi mówili, że jest po zawale i nie czuje się najlepiej... W kilka miesięcy później przeczytaliśmy nekrolog poświęcony.

Poznałem profesora w Łodzi — wspomina doc. Franciszek Januszek. — Był rok 1951 i studiowałem na tamtejszym Uniwersytecie. Profesor Wroczyński dojeżdżał na wykłady z Warszawy. Właściwie był związany ze stolicą, ale brakowało przecież naukowców, więc przyjeżdżał i do nas.

— Jaki był na zajęciach? To prawdziwy autorytet i znawca przedmiotu. Z jednej strony, człowiek o znaczącym nauce nazwisku i o dużej wiedzy, a z drugiej bardzo skromny i lubiany przede wszystkim przez studentów. Nigdy nie słyszałem, by rozmawiał z nami — swoimi słuchaczami z pozycji: „ja wiem wszystko, a wy nie”. A przecież jeszcze przed wojną, w 1938 roku, otrzymał w Uniwersytecie Jagiellońskim doktorat filozofii, napisał kilka prac naukowych. Specjalizował się w andragogice... Później była wojna.

„Mimo niewyspania i zdemotywowania przyszliśmy dość wcześnie na egzamin — pisała w „Pamiętniku nauczyciela” Maria Kolendo. — Ponieważ żadna z uczennic — aboś wcale nie mogła służyć dnia tego mieszkaniem na egzamin pisemny, musiał on odbyć się w mieszkaniu egzaminatorów.”

Po latach już jako profesor Wroczyński tak będzie wspominał te lata: „Był to samodzielną, żywiołową zryw wszystkich nauczycieli, którzy pracę traktowali jako walkę przeciw zaborcom. Była to w zasadzie bezinteresowna praca, gdyż wynagrodzenie, jakie otrzymywaliśmy nigdy nie było brane pod uwagę. Bez względu na groźne niebezpieczeństwo nie tylko nam, ale i całej rodzinie, nigdy nie spo-

W tym roku i tu posmutniało. Decyzja: „dom pod miotek” nabawiła właścicielkę silnej nerwicy. Wiosną przez kilka tygodni płała tylko mleko. Na nie innego nie mogła patrzeć. Latem była tak osłabiona, że praktycznie dzień i noc leżała bezsilnie. Sąsiedzi mówili, że został z niej już tylko cienka dawka kobiecości i że ewentualne przesiedlenie jej do bloku może stać się przysłówowym gwoździem do trumny.

W tym roku i tu posmutniało. Decyzja: „dom pod miotek” nabawiła właścicielkę silnej nerwicy. Wiosną przez kilka tygodni płała tylko mleko. Na nie innego nie mogła patrzeć. Latem była tak osłabiona, że praktycznie dzień i noc leżała bezsilnie. Sąsiedzi mówili, że został z niej już tylko cienka dawka kobiecości i że ewentualne przesiedlenie jej do bloku może stać się przysłówowym gwoździem do trumny.

Jego dom znajduje się również w „strefie izolacyjnej” ulicy Gomułki. Od komunikacyjnego ciągu będzie oddalony gdzieś o 10 m. Dlaczego więc go wyburzać? I dlaczego już w tym roku? Na szczęście, po licznych interwencjach właścicielki, żywot



tykał się z objawami lęku lub uchyłania się od pracy w nauczaniu konspiracyjnym. Nauczanie uważaliśmy za swój obowiązek jasny i nie podlegający dyskusji!”

Już wówczas w swojej pracy organizacyjnej wybiegał do przyszości. Maria Kolendo opowiadała, że Ryszard Wroczyński opracował w 1944 roku memoriał, w którym zaproponował model przyszłego szkolnictwa. Marzyło mu się, by każdy obywatel Polski zdobył minimum wykształcenia. Minimum jego zdaniem to:

— Zresztą — wspomina Franciszek Januszek — te wieloletnie kontakty przerodziły się w serdeczną znajomość. Po latach odwiedzałem profesora w białostockim szpitalu, gdzie powoli wracał do zdrowia po zawale i wtedy podziwiałem jak ze stoickim spokojem znosił chorobę. Nawet wówczas wiele czytał, rozmyślał i pisał.

„Głównym przedmiotem zainteresowania Wroczyńskiego — pisał Wincenty Okoń — są zagadnienia pedagogiki społecznej, a przede wszystkim wpływ warunków społecznych, kulturowych, przyrodniczych i biopsychicznych na przebieg i wyniki procesów wychowawczych oraz problemy metodologiczne związane z badaniami tego wpływu. Ponadto Wroczyński zajmuje się historią myśli pedagogicznej i społecznej w XIX i XX wieku, oraz historią wychowania fizycznego.”

— Moje kolejne wspomnienie o profesorze Wroczyńskim — kontynuuje doc. Franciszek Januszek — sięga okresu kiedy działał on w Komisji Historycznej Zarządu Głównego Związku Nauczycielstwa Polskiego, a ja byłem przewodniczącym tej komisji, ale w Okręgu Białostockim ZNP. Spotykaliśmy się na różnych obradach i zjazdach...

— Był niezwykle życzliwy

— Zresztą — wspomina Franciszek Januszek — te wieloletnie kontakty przerodziły się w serdeczną znajomość. Po latach odwiedzałem profesora w białostockim szpitalu, gdzie powoli wracał do zdrowia po zawale i wtedy podziwiałem jak ze stoickim spokojem znosił chorobę. Nawet wówczas wiele czytał, rozmyślał i pisał.

„Głównym przedmiotem zainteresowania Wroczyńskiego — pisał Wincenty Okoń — są zagadnienia pedagogiki społecznej, a przede wszystkim wpływ warunków społecznych, kulturowych, przyrodniczych i biopsychicznych na przebieg i wyniki procesów wychowawczych oraz problemy metodologiczne związane z badaniami tego wpływu. Ponadto Wroczyński zajmuje się historią myśli pedagogicznej i społecznej w XIX i XX wieku, oraz historią wychowania fizycznego.”

KRYSTYNA POLAKOWSKA

domu przedłożono do 1990 r. Przecież dopiero w następnym dziesięcioleciu będzie poszerzana jezdnia.

— W połowie lat pięćdziesiątych — żali się starsza pani — władze miasta zmusiły nas do wykończenia budynku. Stał od wojny opuszczony. Rozszabrowano też wszystko co się dało. Teraz widać nade mną groźba rozbioru.

Każdy dom, to inna historia, inne związki emocjonalne gospodarzy, inne problemy. Wiele urzędników zajmujących się „oczyszczaniem” terenów pod przyszłe osiedla, najchętniej widziałoby przed wkróceniem dźwigów krajobraz księżycowy — bez domku, drzewa, krzaków. Tak jest najwygodniej. A czy najrozsądniej? Czy nie warto wśród osiedlowej zabudowy zachować chociażby drobne akcenty minionych lat, dokumenty trwania. Nie jest ich za dużo w Białymstoku, warto więc dbać o ich ocalenie.

Rozumiem, że te enklawy mogą przeszkadzać np. przy głębokich wykopach pod fundamenty domu, manewrowaniu dźwigiem, przy organizacji placu budowy. Ale w ten sposób uniknie się bardzo przykrych przeżyć, a nawet chorób tych osób, które chcą pozostać na swoim. Z drugiej strony: ile milionów zaoszczędzimy nie burząc tego, co nie miałyśmy wysiłkiem zbudowane.

ANNA RADZIUKIEWICZ

Francuzi o Maggie: Metaliczne oczy, ciężkie powieki, rudawa grzywka i wąskie drżące nozdrza czyli...

MARGARET THATCHER — 61 lat; zawód polityk (a raczej premier, jest nim od 8 lat!); mąż Dennis — 72 lata; dwoje dzieci — córka Carol i syn Mark, na stałe przebywający w Dallas (USA). Tak przedstawilibyśmy Iron Lady w naszej „Kronice prawie intymnej”. Więcej szczegółów (przerysowanych i złośliwych) pojawia się w artykule zamieszczonym w tygodniku „Paris Match”.

Oto ciekawsze fragmenty: Wystarczy powiedzieć, że ona to De Gaulle w spódnicy. „Francja!..” krzyknąłby głosem z zaświatów General „Wielka Brytania!..” krzyknąłby głosem z zaświatów Margaret Thatcher swoim suchym głosem z metalicznymi, niebieskimi oczyma spod ciężkich powiek, z rudawą grzywką i wąskimi drżącymi nozdrzami.

I nie ma mowy, żeby nazywać ją matką Thatcher. Ona jest Maggie dla swoich fanów; Żelazną Damą, pewną siebie i władczą — dla przeciwników. Tych ostatnich zdobyła w czasie osmiu lat rządzenia (królowania można by rzec, gdyby Anglia nie była monarchią).

Jej sposób rozumowania jest „prosty” — mówią zwolennicy, „straszliwy” — oceniają adwersarze. „Ona zaczyna zawsze od końca. Zamiat wyjaśnić i pozwolić poznać swoją decyzję, stawia ją od razu, a wyjaśnienia potem”. Jeden z jej ministrów stwierdził, wzdychając i znacząco kiwając głową: „Zastanawiam się czy mogłabyś znieść podobnego premiera, gdyby nie była to kobieta...”

W 1981 roku była tak niepopularna jak nigdy przed-



tem żaden premier. Ale rejdym zdaniu, które wypowiedziała 10 maja 1979 roku, przekraczając próg Downing Street 10 (przy tej ulicy mieszka siedziba brytyjskiego premiera — przyp. tłum.): „Chcę rządzić z rozsądkiem i przy poparciu narodu”. Ledwie wybrana zaczyna atak by „uwolnić lud od państwa, biedy, zbrodni, związków zawodowych (sic!) i ogólnie od tego, co podporządkowuje jednostkę”.

W 1975 roku, kiedy została liderem Partii Konserwatywnej, powiedziała z ogromną pasją, że widok brytyjskiej dekadencji jest dla niej nie do zniesienia i że cel jest prosty: skończyć z wyzłotyleniem i „zmienić społeczeństwo z czepiającego masochistycznego przyjemność z pograżania się w swoim upadku”. Za ten upadek odpowiedzialny jest według Maggie socjalizm, czyli prawdziwy diabeł rogiaty, z kopytami i niewiarygodnym oddechem. Socjalizm to osmańca z tchórzliwą i szaloną głową. Partia Pracy, z niezliczonymi, duszącymi odnożami — związkami zawodowymi. Z tym diabłem nie można siedzieć przy jednym stole. Rozwiązanie jest brutalne: diabeł trzeba bez ogródek wyrzucić za drzwi. Thatcher nie zaprzęga swojej kwadratowej głowy państwu, tylko teorii i subtelnej dyktando. Swoim instytem wznieci szewca i córki sklepikarza, psim węchem przewraca, że istnieje niegłęboka Anglia, która czeka aż ktoś stanie na jej czole. Co składa się na tę Anglię? Większość. Ogromne klasy średnie, które marzą o powrocie do konserwatyzmu bez kompleksów i ośmielają się głośno o tym mówić. Konserwatyzm „czysty” i „twardy” oraz takiż styl sprawowania rządów. Rozwiązania autorytarne a nie nie kończące się dialogi i pogawędki!

Żelazna Dama została tak ochrzczona w 1976 roku przez agencję TASS (czyżby po to aby porównać ją z innym „człowiekiem z żelaza”, „ojcem narodów” — Stalinem)? Pracowity pajak, głęboko wierzący (metodystka) Margaret Thatcher jest reliktem patriotycznej dumy z epoki wiktoriańskiej.

Zatem co to jest ten Thatcherizm? Nieskomplikowane przekonanie i kwintesencja woli walki — razem wzięte Maggie tak jak De Gaulle nie owija w bawełnę. Chce odnaleźć potęgę Wielkiej Brytanii. Nie zależy jej na „miłości bliźnich”, rzekłaby: respekt raczej niż afekcja. Kiedyś nawet dodała: „Kto jest dobry? Przywódca niezdolny do podjęcia odpowiedzialnych decyzji w odpowiednim momencie, który nie jest szanowany przez inne narody? Być może, w tym przypadku mamy do czynienia z bardzo miłym człowiekiem, ale nie z przywódcą”.

Występując w telewizji stara się osłodzić swoją postać, ale kiepsko jej to wychodzi. Wyciszony głos — zostaje nadal oschły i nie-wzruszony, niebieskie, twarde oczy nie zmieniają wyrazu a uśmiech, zwłaszcza kiedy ironizuje na temat socjalizmu, wygląda jak zdjęty z wilka przebraniego w czepkę i udającego babcię

Co ma odpowiedzieć lider Partii Pracy? Czerwony Neil Kinnock zaniemógł z zdziwienia i stał mu przed oczyma sytuacja jak z kart powieści Dickensa. „Jeśli p. Thatcher zostanie ponownie wybrana i zobaczy się z brakami na ulicach, dzieciaki pozostawione samym sobie w sercach miast, ludzi śpiących pod mostami, umierających z zimna we własnych domach... to dojdzie do apokaliptyki”.

Maggie czesze swoje wąski, sznurujące ciasto panzer, nadaje swojej fryzurze formę hełmu i obliczu Anglii dobrobyt, wielkość. Wykapany De Gaulle. Jego duch wykradł się nocą ze swego grobu w Colombey — przeszedł Kanał la Manche? Nie. Przypomnijmy sobie Joannę d'Arc i anglofobie Generała. To nie jego duch. To tylko sobowtór.

Tłumaczyła i opracowała JADWIGA NIELIPiNSKA

Żelazna dama

Swoją program zawarła w jednym zdaniu, które wypowiedziała 10 maja 1979 roku, przekraczając próg Downing Street 10 (przy tej ulicy mieszka siedziba brytyjskiego premiera — przyp. tłum.): „Chcę rządzić z rozsądkiem i przy poparciu narodu”. Ledwie wybrana zaczyna atak by „uwolnić lud od państwa, biedy, zbrodni, związków zawodowych (sic!) i ogólnie od tego, co podporządkowuje jednostkę”.

W 1975 roku, kiedy została liderem Partii Konserwatywnej, powiedziała z ogromną pasją, że widok brytyjskiej dekadencji jest dla niej nie do zniesienia i że cel jest prosty: skończyć z wyzłotyleniem i „zmienić społeczeństwo z czepiającego masochistycznego przyjemność z pograżania się w swoim upadku”. Za ten upadek odpowiedzialny jest według Maggie socjalizm, czyli prawdziwy diabeł rogiaty, z kopytami i niewiarygodnym oddechem. Socjalizm to osmańca z tchórzliwą i szaloną głową. Partia Pracy, z niezliczonymi, duszącymi odnożami — związkami zawodowymi. Z tym diabłem nie można siedzieć przy jednym stole. Rozwiązanie jest brutalne: diabeł trzeba bez ogródek wyrzucić za drzwi. Thatcher nie zaprzęga swojej kwadratowej głowy państwu, tylko teorii i subtelnej dyktando. Swoim instytem wznieci szewca i córki sklepikarza, psim węchem przewraca, że istnieje niegłęboka Anglia, która czeka aż ktoś stanie na jej czole. Co składa się na tę Anglię? Większość. Ogromne klasy średnie, które marzą o powrocie do konserwatyzmu bez kompleksów i ośmielają się głośno o tym mówić. Konserwatyzm „czysty” i „twardy” oraz takiż styl sprawowania rządów. Rozwiązania autorytarne a nie nie kończące się dialogi i pogawędki!

Żelazna Dama została tak ochrzczona w 1976 roku przez agencję TASS (czyżby po to aby porównać ją z innym „człowiekiem z żelaza”, „ojcem narodów” — Stalinem)? Pracowity pajak, głęboko wierzący (metodystka) Margaret Thatcher jest reliktem patriotycznej dumy z epoki wiktoriańskiej.

Zatem co to jest ten Thatcherizm? Nieskomplikowane przekonanie i kwintesencja woli walki — razem wzięte Maggie tak jak De Gaulle nie owija w bawełnę. Chce odnaleźć potęgę Wielkiej Brytanii. Nie zależy jej na „miłości bliźnich”, rzekłaby: respekt raczej niż afekcja. Kiedyś nawet dodała: „Kto jest dobry? Przywódca niezdolny do podjęcia odpowiedzialnych decyzji w odpowiednim momencie, który nie jest szanowany przez inne narody? Być może, w tym przypadku mamy do czynienia z bardzo miłym człowiekiem, ale nie z przywódcą”.

Występując w telewizji stara się osłodzić swoją postać, ale kiepsko jej to wychodzi. Wyciszony głos — zostaje nadal oschły i nie-wzruszony, niebieskie, twarde oczy nie zmieniają wyrazu a uśmiech, zwłaszcza kiedy ironizuje na temat socjalizmu, wygląda jak zdjęty z wilka przebraniego w czepkę i udającego babcię

Co ma odpowiedzieć lider Partii Pracy? Czerwony Neil Kinnock zaniemógł z zdziwienia i stał mu przed oczyma sytuacja jak z kart powieści Dickensa. „Jeśli p. Thatcher zostanie ponownie wybrana i zobaczy się z brakami na ulicach, dzieciaki pozostawione samym sobie w sercach miast, ludzi śpiących pod mostami, umierających z zimna we własnych domach... to dojdzie do apokaliptyki”.

Maggie czesze swoje wąski, sznurujące ciasto panzer, nadaje swojej fryzurze formę hełmu i obliczu Anglii dobrobyt, wielkość. Wykapany De Gaulle. Jego duch wykradł się nocą ze swego grobu w Colombey — przeszedł Kanał la Manche? Nie. Przypomnijmy sobie Joannę d'Arc i anglofobie Generała. To nie jego duch. To tylko sobowtór.

Tłumaczyła i opracowała JADWIGA NIELIPiNSKA

Trzy lata minęły od wspólnego, trójpartyjnego plenum poświęconego problemom upowszechniania kultury w woj. białostockim. Odbędzie się ono 4 lipca 1984 roku.

— Trzeba uczynić wszystko — powiedziano wówczas — żeby kultura wyrastała z zainteresowań społeczeństwa i stała się jego koniecznością.

Rzecz jasna, Białystok — jako stolica regionu — pełni zarazem funkcję ośrodka opinio- i kulturowego, a rodzając się tu inicjatywy powinny promieniować daleko w teren.

Wspólne plenum spowodowało, że kultura i jej problemy dotarły do wielu odbiorców kształtujących życie w tym zakresie. Ale nastąpiło zarazem znaczne przyspieszenie w tworzeniu nowych dokumentów, programów, harmonogramów wykonania zadań.

Jakie są dzisiaj potrzeby kulturalne mieszkańców stolicy regionu? Kto ma je realizować i przy pomocy jakich form? Czy niektórym oczekiwaniom są w stanie sprostać instytucje, placówki i ludzie, którym powierzono rolę organizatorską, ale z ramienia kulturową? Na te i inne pytania starało się odpowiedzieć wtorkowe plenum KM PZPR na temat „Uwarunkowań aktywności kulturalnej ludzi pracy Białostocka”.

GWALTU, RETY...

Z analizy przeprowadzonej przez Ośrodek Badań Naukowych p. „Problemy kultury w opinii robotników” wynika, że tylko 5 proc. ankietowanych osób potwierdziło, iż w czasie wolnym od pracy uczestniczy w imprezach kulturalnych, a dwie trzecie nie posiada żadnych zainteresowań tego rodzaju. O skali problemu świadczy następująca dane: do kina nie chodzi 42 proc. robotników, do teatru — 80 proc. Jeszcze

O KULTURZE NA ROBOCZO

więcej, bo 85 proc. nie było na koncertach muzycznych, a 53 proc. na imprezach estradowych, 93 proc. nie było nigdy na wystawach plastycznych, a 87 proc. na wystawach muzealnych.

Natomiast telewizja jawi się w tym opracowaniu, jako

ZŁODZIEJ WOLNEGO CZASU

Ogląda ją codziennie 75 proc. ankietowanych. Najchętniej filmy sensacyjne, programy informacyjne,

dżona — przeżywa prawdziwy kryzys. Na sześćdziesiąt zakładów pracy, do których instancja miejska zwróciła się z prośbą o informację z zakresu upowszechniania kultury, nadeszło 25 odpowiedzi. Przedsiębiorstwa i instytucje w tej sferze działalności na rzecz założeń, ograniczają się najczęściej do zakupowania i rozprowadzania biletów na imprezy nie zawsze najwyższych lotów.

Tylko nieliczne przedsiębiorstwa zajmują się rozwojem lub utrzymywaniem amatorskiego ruchu artystycz-

nam — nie rezygnując z prób upowszechniania kultury w miejscu pracy, należy z większą energią rozstrzygać te problemy w miejscu zamieszkania. Chodzi tu o tworzenie ogólnego infrastruktury osiedlowej, a więc budowy domów kultury, otwierania świetlic, organizowania bibliotek, przygotowywania placów gier i zabaw, boisk sportowych, dbania o estetykę elewacji budynków i czystość w osiedlach. Dobrym tego przykładem w Białymstoku jest osiedle „Słoneczny Stok”, w którym

swaracala zadnej uwagi na toczące się obrady, zajęta oglądaniem sensacyjnego filmu video.

Z KLUCZEM NA SZYI

Nie tylko w dyskusjach kulturalnych podkreślano rolę szkoły w przygotowaniu do życia dorosłego. Ale istniejąca baza szkolnictwa, brak odpowiednich świetlic uniemożliwiają w większości szkół prowadzenie na wysokim poziomie zajęć pozaszkolnych, w tym również rozwijających zainteresowania dzieci i młodzieży.

Należy wyzwoić inicjatywę oświaty — podkreślano. Tam, gdzie są nauczyciele — pasjonaci oddania sprawie, udaje się to z powodzeniem. O pomysły nie trudno, ale przeładowane programy — szkolne, wielozmianowe nauki, brak kadry instruktorskiej — mównio o tym szeroko — utrudniają pracę.

NIE TWORZA URZĘDNIKI

a ludzie z ambicjami służenia innym. Potencjalnie mamy ogromne możliwości działań kulturowych. Jest przecież duże środowisko studenckie, silna spółdzielczość w sporadycznych formach pracy i znacznymi osiągnięciami. Szkolnictwo — mimo wielu niedociągnięć — legitymuje się ogromnym doświadczeniem i dorobkiem w rozwoju amatorskiego ruchu artystycznego. Są wreszcie zakłady pracy z dobrą tradycją. Brak jest tylko koordynatora, który rozproszone środki i siły wszystkich współorganizatorów oblicza kulturalnego miasta i jego mieszkańców, umiałby spójnić.

Jeśli przyjęta na plenum uchwała znajdzie poparcie nie tylko w organizacjach partyjnych, w kulturze białostockiej powinno nastąpić wyraźne przyspieszenie.

JÓZEF MAKOWIECKI

Dwa spotkania

MR BIAŁYSTOK

SARĘ BENDER z Tel Awiwu spotkałam w Białymstoku w trakcie międzynarodowej konferencji nt. „500 lat osadnictwa żydowskiego na Podlasiu”. Powiedziała mi w rozmowie „GW” z dnia 16 września br.) o swoim zaginionym kuzynie, który być może, po dziś dzień żyje gdzieś w Białymstoku.

O POCZUCIU ODPOWIEDZIALNOŚCI

Nasz wspólny apel wystosowany do Czytelników by pomogli w odnalezieniu tego chłopca, dziś już ponad 40-letniego mężczyzny (zabrany z getta przechowywany był przez polską rodzinę) przyniósł nadspodziewane rezultaty. W dniu gdy rozmowa ukazała się w druku rozdzwoniły się redakcyjne telefony. Kilka osób przyszło osobiście do redakcji. Podano nam nazwiska kilku rodzin, które opiekowały się żydowskimi dziećmi, przy czym aż dwie osoby wskazywały nam jeden, być może, bardzo prawdopodobny ślad.

Trudno w tej chwili wyrokować w tej sprawie. Nie wiemy jeszcze czy jest to akurat ta, poszukiwana osoba. W każdym bądź razie Sara Bender opuściła nasze miasto nie tylko w poczuciu spełnienia, rodzinnego obowiązku, ale też z pewną wiarą i nadzieją, że nasz apel przyniesie jej — być może — upragnione spotkanie po latach.

Wiadomość tę podaje po to, by utwierdzić Czytelników w przekonaniu, że w naszym, dość cynicznym świecie istnieje mimo wszystko więź i solidarność a także chęć niesienia pomocy. Białostoczanie, zwłaszcza ci starszy wiek, poczuli się odpowiedzialni za jeden ludzki los. I chwala im za to!

O OBIETNICY, KTÓREJ NIE DOTRZYMAŁ

Inny uczestnik konferencji dr CHEN MELECH MERCHAVIA z Jerolimy powiedział — nie z tego wieku. Na początku ma jakby pewne obawy przed rozmową z polską dziennikarką. Nie chce rozgłosu, ani gazetowej sławy.

— Proszę pisać o Białymstoku, na mnie — prosi.

— Spróbuję — przyrzekam — choć z góry wiem, że przyrzeczenia tego nie dotrzymam.

Mogę właściwie pisać o Białymstoku słowami dr. Merchavii, ale przecież i tak to on będzie tą pierwszoplanową postacią.

O POWROCIE DO KORZENI

Zatem kim jest ów dr Merchavia? Białostockim Żydem, który jako dwudziestolatek (w 1930 r.) opuścił swoje rodzinne miasto. Od tego czasu mieszka w Jerolimie, a dziś — już na emeryturze — prowadzi białostockie archiwum w tamtejszej Bibliotece Narodowej. Nazywają go Mr Białystok, bo o Białymstoku wie najlepiej, a jego archiwum posiada ponad 3 tys. haseł. Są tam osobistości, instytucje, partie, problemy itp. od początku istnienia miasta do czasów nam współczesnych. Gdy pytam o to, czy dotyczy to tylko osób narodowości żydowskiej, odpowiada, że nie. Jest tam — powiada — wszystko.

Archiwum prowadzi sam, czasem tylko, za odpowiednim, symbolicznym zresztą, wynagrodzeniem zatrudnia młodzież szkolną i studentów.

Materiały pochodzą z różnych stron świata. Sam spenetrował ponad 200 zagranicznych bibliotek. W poszukiwaniu wzmianek o naszym mieście przemierzył Europę wzdłuż i wszerz.

Przy okazji: będąc w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku, dr Merchavia konstatował, że w porównaniu z innymi nasza jawi się jako bardzo nowoczesna i zasobna.

O DUMIE I WIEZI

A wracając do białostockiego archiwum w Jerolimie. Są tam różne materiały i dokumenty. Nawet nekrologi. Izrael jest pełen białostoczanie, a dr Merchavia twierdzi, że białostoczanie to żydostwo najdumniejsze. Nawet w gazetowych nekrologach jest, iż zmarły pochodził z Białogostoku.

O POWODZIE DO ZADOWOLENIA

Dr Merchavia mocno podkreśla swoje związki z Białymstokiem. Urodził się tu przed 77 laty. Ojciec jego pracował w wielkiej firmie eksportowej, matka była akuszerką. Uczył się w gimnazjum hebrajskim (które od chwili założenia w 1919 r. przetrwało do 1939 roku i było największą szkołą hebrajską w całej diaspory). Ojciec dr Merchavii był współtwórcą towarzystwa miłośników języka hebrajskiego, które powołało w Białymstoku grupę teatralną. Grupa ta występowała m.in. w Moskwie, a potem zapoczątkowała teatr narodowy w Izraelu. Dr Merchavia, już po wyjeździe z Polski, studiował literaturę hebrajską, potem był urzędnikiem, pedagogiem, dziennikarzem, pisarzem (ma na swym koncie wiele książek historycznych). A teraz, już na emeryturze, zajmuje się wyłącznie archiwum.

Mówi mi, że obecnie nie może sobie pozwolić na nowe znajomości, gdyż obligują one choćby do kontaktów korespondencyjnych, a na to nie ma już po prostu czasu.

— Jeśli skończę swoje życie — powie — wypełnię swój pięćdziesiąt procent planów — to będzie to powód do zadowolenia.

O POBYCIE W BIAŁYMSTOKU

— Jestem człowiekiem światowym, ale tu, na grobach swoich przodków, czuję się bardzo wzruszony. Nie wstydę się jednak ani swojej wrażliwości ani sentymentalizmu.

Mysle, że konferencja zorganizowana przez Instytut Historii Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku we współpracy z Żydowskim Instytutem Historycznym oraz Białostockim Towarzystwem Naukowym, która wniosła przecież tyle ciekawych tematów, będzie miała wpływ na dalszą owocną naukową współpracę, wzajemne zrozumienie oraz rozwiązywanie problemów i pytań, które dotąd utrudniały porozumienie.

LUDMIŁA CHALECKA-POŁOCKA

„ŁOMŻA” PRZED JUBILEUSZEM

Ależ ten czas leci! Zda się, że zupełnie nie tak dawno stałem w tłumie bijących riasie oklaski na koncercie z okazji 5-lecia „Łomży”, a tymczasem zespół przygotowuje już koncert na swoje dziesiąte urodziny. Wydołała, zmieniła... a popis, jaki dał podczas tegorocznych Dni „Gazety Współczesnej” w Łomży — potwierdził, że czasu na leniuchowanie w tych latach nie było.

Malutki ja chłopak do dziewczeczki trzeba by mi do niej drabinekzi

Koncertowy skład zespołu to 16 par taneczno-wokalnych, pięciu solistów, siedmiu muzyków w kapeli. Milicjanci, nauczyciele, technicy budowlani, strażacy, technicy drzewni, robotnicy, urzędnicy, studenci, muzycy zawodowi, pracownicy kultury. Sciślej: Kugiel, Puny, Lunia, Prezes, Surowa, Szczepiłek, Kefir, Bengel, Łocka (bo to zupełnie od czego innego pochodzi), Chudy, Laszlot, Suchy. Inni są też, ale jeszcze pracują na pseudonimach. Kowalscy, Jankowscy, Malinowsky zostają w domach. Gdy są razem — jest właśnie tak. Jedna cała rodzina. Mają coś ze 22 dzieci — doliczając się trudno. Razem brali śluby. Tu poznawali się i... trzymają się razem: Nitkiewiczowie, Wysocki, Sadowski, Rekoszowie,

elektrownia. W połowie koncertu wyłączone światło. Widownia — ponad 6 tys. ludzi — długo biła brawo, ale prądu nie było przez pięć godzin.

Nie zapomną też koncertu w Świecianach. Sala nabitą do ostatniego miejsca, choć bilety wcale nie były tanie. Brawa od pierwszych taktów suity kurpiowskiej. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że Marek Bobryk obejrzał się na widownię. Zobaczył chustki przy oczach, izy na policzkach. Sami ulegli, choć niejedno już widzieli... Ale najciekawsze tańca w Łomży i okolicach. To też taki ewenement, bo zespoły stylizowane koncertują u siebie raz — dwa w roku. Reszta czasu poświęcają na wyjazdy. Oni też byli — dwukrotnie na świecie „Trybuny Ludu”. Z przyjemnością wspominają koncert z okazji święta „Gazety” w mbr. w Białymstoku. Najciekawsze jednak są u siebie. Oczywiście, że chcieliby więcej jeździć po kraju. Prawie każdego dnia przychodzi jakieś zaproszenie. A to festiwal w Zielonej Górze, a to Jarmark Dominiński w Gdańsku, Kraków, Szczecin... Są to jednak zwykłe wyjazdy kilkudziesięciu, jak zwolnili się z pracy? No, można wziąć urlop. Tak, ale urlopy członkowie „Łomży” przeznaczają na grupowania i obozy warsztatowe. Kółeczko zamknięte.

Ni do tańca ni do śpiewki jeno popić jak z konewki

Śmieją się: koncert za lepsze lub gorsze jedzenie, cały dzień — na nogach. Na zgru-



„Łomża” tańczy.

Fot. Zdzisław ZAREMBA

Od kilku lat RUCIANE-NIDA i LESNICZÓWKA PRANIE są miejscem spotkań z poetą Konstantem Hłefsona Gałczyńskiego. Dotychczas miały charakter poetyckiej biadaśi. W tym roku po raz pierwszy nadano imprezie formułę konkursu zapraszając do udziału

Przyjechało 34 wykonawców z woj. suwalskiego, olsztyńskiego, białostockiego, chełmskiego, sieradzkiego i Warszawę. Dominowała młodzież szkół ponadpodstawowych. Najliczniej przybyli recytatorzy, poza tym zwolennicy teatru jednego aktora, poezji śpiewanej i członkowie grup teatralnych oraz 26 instruktorów i dziennikarzy.

Na inaugurację „Poezji u Gałczyńskiego” nie można było oczywiście wybrać innego miejsca niż dom mistrza Hłefsona. Nie zabrakło sympatyków, chociaż chyba nieco infantylnej symboliki — otwarcia imprezy dokonano kluczem uplecionym z modeliny. Nie mogło się obejść bez zwiędzonego leśniczki pełnej pamiętek po poecie oraz spotkania z córką — Kirią Gałczyńską. Niewątpliwą atrakcją był videospokali „Babcia i wnuczek” w doborowej obsadzie

aktorskiej m.in. z Ireną Kwiatkowską i Jerzym Bończakiem. Dzień drugi poświęcono prezentacji konkursowym, zajęciom warsztatowym; wieczorem zaś zapłonęło ognisko. Wnętrza kawiarni domu wczasowego „Perla jezior” i sali MGOK stały się tym dla recytacji i mini-spektakli. Te ostatnie stanowiły kompilację tekstów patrona imprezy. Bywało, że towarzyszyła im własna muzyka. Przedstawiano poezję z różnych okresów twórczości Gałczyńskiego — od „Zielonej Gęsi” po „Kronikę Olsztyńską”.

„Gałczyński inaczej, albo tak samo, czyli nasze małe imprezy” — to hasło warsztatowe. Prowadziła je reżyser stołecznego teatru Ochoty — Anna Dziedzic. Były nie tylko lekcje z dramy, lecz także ćwiczenia dykcji, oddychania, intonacji.

— Dla niektórych recytato-

SPOTKANIA Z POEZJĄ

Pióra „Zielonej Gęsi” wyrwane

rów była to zupełna nowość. Z drugiej strony warsztaty odegrały ogromną rolę integracyjną. Sądze, iż w następnym roku należałoby je zorganizować na początku — podkreśla kierownik działu upowszechniania teatru w suwalskim WDK, Wacław Poniatowski. Niejako finałem tego dnia stało się podsumowanie kon-

kursowych zmagani. Jury pod przewodnictwem honorowego gospodarza imprezy Kiri Gałczyńskiej rozdało złote, srebrne i brązowe „Pióra Gałczyńskiego”. Pierwsze z nich otrzymał za recytację Jerzy Ławski z Białogostoku. Natomiast „Pióra specjalne” przyznano mieszkańcom Olecka Markowi Borawskiemu za monodram „Dziecko się rodzi”. Wszystkim uczestnikom poza książką córki pisarza „Słaki mazurek Gałczyńskiego” ofiarowano na pamiątkę okolicznościowe dyplomy oraz wykonane z modeliny „Pióra z kupura zielonej gęsi”.

„Poezję u Gałczyńskiego” zamknął koncert muzyki poważnej i recytacje utworów autora „Zaczarowanej doroczki”.

— Moim zdaniem K.I. Gałczyński jest jednym z naj-

Nie chcemy powielać konkursów recytatorskich. „Poezja u Gałczyńskiego”, już z samego założenia ma odmienny charakter. Jest tylko jeden autor. Jego osobowość i twórczość była niezmiennie bogata. Stąd jest analizowana przez wykonawców.

Chodzi nam również o zapewnienie wysokiego poziomu prezentacji jego utworów nadania spotkaniom znaczące w kraju rangi. Cieszyłyby słowa części uczestników, twierdzących, niezachwianie że wrócić tu za rok.

W przyszłości zamierzamy zapraszać do Rucianego i Prania najlepszych recytatorów w kraju, laureatów centralnych eliminacji konkursów. Dlatego właśnie pomocne byłoby nawiązanie współpracy z Zarządzeniem Głównym Towarzystwa Kultury Teatralnej. Reasumując pragnąłabym, aby impreza mająca stałe ramy, każdego roku wniosła coś nowego. Wszystko zaś ogniskować się powinno wokół poezji Gałczyńskiego.

JAROSŁAW NOWAKOWSKI

Baba tańczyć? Też pytanie...

Brzozowscy... Ale ile takich „zespołów” związków z zespołu już odezł? Też trudno liczyć, tym bardziej, że przez „Łomżę” przewinęły się dotychczas setki ludzi. W tej chwili też już dwie pary są prawie „pewne”, choć Prezes mówi, że jego systematycznie raz w kwartał żenia. On sam — póki co — nie wie ani z kim, ani kiedy.

Drabinekzi jeszcze nie urosła a dziewczyna za mąż sobie poszła

Mówią, że to jakaś „zara”. Chłopak idzie do wojska, nie ma go przez dwa lata. Toż zapomnieli, że ożenił się w tak zwany międzyczasie, za wybrana polecił w drugi kąt kraju... To on — nie, wraca. Jakaś cholera go nieśie, bo mu tak. Dziewczyna poleci, urodzi, odchowta trochę maleństwa i już w krakowiaku obcasami pod sufitem.

Trzy razy w tygodniu po trzy godziny. Nie ma ulgi. Sala konferencyjna UW wówczas dudni, trzęsie się, pachnie potem. Właśnie — sala konferencyjna Urzędu Wojewódzkiego. W ciągu dziesięciu lat istnienia zespół nie dorobił się nawet sali, w której normalnie można by prowadzić próby. Gdzież już nie ćwiczyli? Najpierw była „kiszka” w WDK. Przy drążkach mogło równocześnie ćwiczyć sześć par. Potem — sala „ogólnolaska”, wreszcie sala UW. W swojej historii zespół nie miał nawet luster do ćwiczeń.

Trzy razy w Widlinie i raz w Primorsku (Bulgaria). Dwa razy w Balaton Feoldvar (Węgry), Świeciany (Litwa). Właśnie to dopiero tu spotężył jak bardzo się rozrosł. Pociąg peronowy musiał trzy razy obracać po kostiumy, sprzęt i rekwiizyty. Właściwie to nikt tego nie wazył, ale kilka ton będzie. Gdy ruszają gdzieś dalej — z „robura” wyjmują siedzenia i pakują wszystko na kupa. Samych kostiumów mają 96. Kurpiowskie, łowickie, lubelskie, krakowskie, Księstwa Warszawskiego, konusze... karabele i szable. Są jednym z nielicznych zespołów, tak dobrze „uzbrojonych” w sutach historyczno-militarnych. Ile to kosztuje? Znowu trudno liczyć, ale to idzie w dziesiątki milionów złotych.

A co mi to za młodzian stoją w sieni jak bociany

Festiwale zagraniczne. Dwa razy „Dunaj, Księżna Wiosna”, festiwal z okazji 25-lecia młodzieżowego ośrodka im. G. Dymitrowa w Primorsku. Tu było nawet nieźle, gdyby nie...

powaniach — jeszcze gorzej — po kilkanaście godzin ćwiczeń, jedzenie i spanie w autokarach. Przychodzi na koncert, zatańczy, biegnie do domu ziemniaki oberać, bo maż za chwilę na obiad wraca. Smutno, bo czyż dziecko chore, bo ktoś ma kłopoty z szefem, bo ktoś potrzebuje na gwalt pieniędzy. No i czekają — na sale prób, autokar, skrzynię... To prawdziwa instytucja.

I znowu śmieją się, a pamiątkę finału na festiwalu w Widlinie? Salwa śmiechu. I tłumaczą nie zorientowanym: w siołce krakowskiej są dwa finały. Wiedzy mieli zatańczyć i jeden i drugi. Zatańczyli pierwszy, ustawili się w szuku jak pod sznur l., część zespołu zbiegła ze sceny, a pozostali... zaczęli tańczyć drugi finał. Po chwili wrócili tancerze z kulis, zaczęli tańczyć... finał trzeci. Równieko, elegancko, przy huraganie braw... Najciekawsze wspominają jednak wypad do Primorska. Upał jak diabeł, a koncert dopiero po południu. Cóż robi Polak? Idzie oczywiście na plażę. Poleżeli, poopalali się, a potem...

— Trzeba sobie wyobrazić dziewczynę, która na dokładnie czerwienitkie plecki ubiera wazy pięć kilo kostium do suity łowickiej! Ale ubrali się i zatańczyli. I to jaki!

Z kóz bym się zenił, byle pieniądze miała

Ślawa Jan Rekosz (kierownictwo muzyczne i artystyczne), Kazimierz Pawczyński, Wojciech Muchala, Jerzy Smiechowicz i Izabela Michalska-Korsan (choreografowie) — nie kryją zadowolenia. Czy są dobrzy? Oceniają to ludzie. Finały tańczone przy stojącej, klaszacej publiczności, zaproszenia, kwiaty, wilgotne oczy... Ze śmiechem mówią, że najmniej czasu mają dla siebie. Gdyby było inaczej, to pewnie częściej biegliby w swoich pięknych strojach do Urzędu Stanu Cywilnego na kolejny ślub „zespołowy”. Czasu nie może im jednak zabraknąć dla ludzi i na coroczne spotkanie wigilijne. Będą tańczyć? Też pytanie... i zaśpiewają Rekoszowi:

„ej prosili mnie na zaloty jak na jakieś dziw panna młoda młodzieńca a pan młody siwy...”

WAWRZYNIEC KŁOSIŃSKI

Reforma a... obyczaje

Nie muszę nikogo oczywiście zapewniać, że absolutnie nie zgadzam się z poglądem naszych przeciwników politycznych jakoby panowała u nas sytuacja, która można by określić mianem stabilizacji kryzysu. Jeśli mamy nawet do czynienia ze stabilizacją — to to rzeczy samej płyną i bardzo niedoskonale. A wszak jesteśmy u schyłku XX wieku i mamy ambicję sprostać wyzwaniom, jakie nieuchronnie niesie ze sobą wiek XXI. Nie wystarczy, niestety, możemy uczestniczyć w obozach spod znaku „Awangarda XXI wieku”, przyjacielami i znajomymi rozsiadającymi po całej Polsce. Im większy rozrzut, tym lepiej. I oto szwagier w Łodzi w odpowiedzi na nasz monit melduje nam, że do tamtejszego „Polmożbytu” właśnie

Chyba, tak zwany szary obywatel, skazany na wyzwanie dnia dzisiejszego? Wyzwanie tyleż banalne co nieraz tragiczne: gdzie dostać bralo, a jaką część do praktyki; do kogo apelować, żeby kaloryfer grzał, a woda ciekła z kranu; do kogo się zwrócić w sprawie lekarstwa, którego nie ma w żadnej aptece itd, itp.

Trzeba po prostu uderzyć w pokorę, nie ma, niestety, innego wyjścia, i ponownie nawiązać kontakty — kiedyś u dobie sukcesu telekomunikacji przyzwane — z rodziną, przyjaciółmi i znajomymi rozsiadającymi po całej Polsce. Im większy rozrzut, tym lepiej. I oto szwagier w Łodzi w odpowiedzi na nasz monit melduje nam, że do tamtejszego „Polmożbytu” właśnie

„podrzucili” opony do malucha; znajomy z Rzeszowa ponany przypadkowo na wozasach, pociesza w liście, że udało mu się kupić poszukiwany przez nas od kilku mie-

Radz sobie sam!

sięcy agregat do łodów; kuzyn ze Szczecina, niech to będzie nawet kuzyn, podziwiany, informuje, że jest już na tropie niezbędnego lekarstwa. Oczywiście, obowiązują tu rygoryzmy sąsada: co

za coś. My ze swej strony robimy, jak mówią Rosjanie: na wszelki pożarny slučaj, skrobnij zapas poszukiwanych dóbr; w każdym razie w ilościach nie budzących podejrzeń u IRCH-y, ani innych organów ścigających spekulację. Dobrym, bodaj najlepszym towarem wymiennym są lekarstwa, którym, zdaniem niektórych przedstawicieli władzy, obzeramy się ponoć niezmierzanie, czego niezbitym dowodem stają się puste regaly w aptekach.

W zdecydowanie korzystniejszej sytuacji są ci wszyscy z nas, którzy mają dalekich krewnych, a choćby tylko znajomych w ościennych bratnich krajach. Dysponujemy wtedy szerszym wachlarzem rzadkich (to znaczy poszukiwanych, niezbędnych...) dóbr, włączenie do takiego łukusa, jakim jest kolorowy telewizor. Jest naturalnie pr-

wne ryzyko związane z tą swoistością pojętą wymianą międzysąsiedzką, o czym mówią smutne tegoroczne doświadczenia naszych, i bratnich także, turystów.

Na Zachodzie — ale to już wyższa szkoła jazdy: trzeba mieć dużą praktykę i dysponować odpowiednim kapitałem — zaopatrujemy się w komputery, video i inne cuda elektroniczne.

MARIAN WIŚNIEWSKI

magazyn

Gazety Współczesnej

Samobiczowanie się Bergmana

Książka nadchodzącej jesieni chyba nie tylko w Szwecji, ale i na świecie, będzie zapewne pamiętną wybitnego szwedzkiego reżysera Ingmara Bergmana „Laterna magicka”. Prawie 1,5 mln dolarów zapłaciły dotychczas różne wydawnictwa za prawa autorskie do książki i na pewno nie wyrzuciły tych pieniędzy w błoto. Jeszcze przed pojawieniem się na półkach książka stała się powodem małego skandalu: popołudniowa sztokholmska „Aftonbladet” oskarżona została o kradzież tekstu z drukarni i opublikowanie fragmentów, zanim ukazały się one w upoważnionej do tego konkurencyjnej gazecie „Expressen”.

65-letni dziś reżyser Ingmar Bergman, najbardziej znana na świecie postać współczesnej szwedzkiej kultury, obchodził się z sobą w pamiętnikach w sposób bezlitosny. Na kartach książek odtworzone zostały z sadyściyczną precyzją ponure sceny z dzieciństwa spędzonego w parafii mieszczańskiej dzielnicy Sztokholmu — Oostermalm. Syn pastora, wychowywany był w systemie „grzechu i kary”. Starszy brat Ingmara próbował z tego powodu popełnić samobójstwo. Siostrę zmuszono do przerwania nieślubnej ciąży w trzecim o honor rodziny. Ingmar Bergman dawał sobie w tym domowym piekle najlepiej radę po prostu — jak pisał — „szybko odkrył zalety kłamstwa”. Był dzieckiem pełnym fantazji i stał się z czasem „klamką doskonałą”.

Bergman bez fanatyku odśladzania także kulis swego filmu w latach młodości z nazimem, z którym zetknął się w roku 1936, spędzając wakacje u sprzyjałonej rodziny pastorskiej w Niemczech. W środowisku, w którym wychował się Bergman,

panował ścisły hierarchiczny system połączony z ślepym posłuszeństwem jako pierwszym przykazaniem. Łatwo stał się on więc sympatykiem faszyzmu w odwołanej do wydarzeń wojennych Szwecji. Kiedy prawda o zbrodniach niemieckich dotarła wreszcie do Szwecji, Bergman pogodził się z całą intensywnością i wstrętem do tego okresu życia — podobnie jak i do całego dzieciństwa — pozostał mu, jak twierdzi, do dzisiaj.

Udręka i nieczyste sumienie sprawiał mu z kolei stosunek do kobiet. Bergman twierdził o sobie, że był opętany seksualną żądzą, która powodowała niewierność wobec licznych partnerek. Miał w sumie 7 żon (choć nie wszystkie zwiłkły przypiętym do niego formalnym kontraktem małżeńskim) i 11 dzieci. Jeśli udało mu się je dobrze położyć, „jeśli można wyrazić się wulgarnie, na koniec udało mi się trafić w dziesiątkę”. Pisał Bergman o swoim obecnym związku z Ingrid von Rosen. To szesnastoletnie małżeństwo jest fundamentem jego obecnego życia — twierdzi. O wszystkich swoich partnerkach, wśród których były gwiazdy ekranu Harriet Andersson i Liv Ullmann, wyraża się zresztą Bergman niezwykle łagodnie. Pisał o nich jako o inteligentnych, pięknych i artystycznie uświadomionych kobietach.

Cały rozdział w pamiętnikach poświęca Bergman konfliktowi ze szwedzkimi władzami podatkowymi w połowie lat siedemdziesiątych, który pogryzł go w głębokiej depresji. Złot, która narodziła się w jej następstwie była tak silna, że Bergman opuścił Szwecję i osiedlił się w Monachium. Tam przeżył po raz pierwszy w życiu wyzwalające go przez publiczność po premierze teatralnej. Nie było to całkowite negatywne przeżycie — ocalała to dla Bergmana. Miał, że nora jego — jak zapewniał — miała już nigdy nie stać w Szwecji, już po kilku miesiącach zatelegrafował z swym letnim domem na małej wyspie przyczepionej do bałtyckiej Gotlandii. Ten pierwszy urlop przyspieszył pogodzenie się z ojczyzną.

Bergman, mimo emerytalnego już wieku, jest nadal czynnym reżyserem Królewskiego Teatru Dramatycznego w Sztokholmie. Jego inscenizacja Hamleta z żołnierzami uzbrojonymi w pistolety maszynowe spotkała się z entuzjastycznymi recenzjami we Włoszech i Wielkiej Brytanii, gdzie szwedzki zespół występował na gościnnych scenach.

Rys. K. OLENDER

ZNÓW SPADA...



Rys. K. OLENDER

KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 4) nazywany jest winem kobiet, 7) we wstępie wierzy, 9) do wspinań się, 12) ruszenie mózgowia, 13) coś do rozwinięcia, 14) epiteta na ciasto, 16) błąd pisarza, 17) czworonoga flegmatyczna, 19) mui z anonsu, 21) wzór dla chodzących nieregularnie, 23) nie tamto i nie pod, 25) królewski kopacz z Madrytu, 26) w czarnego luda albo w ciuciubabkę, 29) chorobliwa dusielnica, 31) pole do karłowatych popisów, 33) pierśnik nie do jedzenia, 34) Tino — śpiewak, Paulo — gra, 35) bat w robocie, 36) lokal dla lasuchów, 38) ojciec-skrupali, 39) bryka podczas obchodów „Dni Krakowa”, 40) zmartwienie z krosty.

PIONOWO: 1) wyspecjalizowana w sianiu ziarna niezgody, 2) bije w czasie jazdy, 3) ożywia lalki, 4) rzeka, która pochłonięta odłam lodu, 5) nie ma mnie po rozszadzie, 6) Twoje zdrowie!

8) męska obrona, 10) sterzy ze zradiofonizowanego auta, 11) piszczy, gdy ją się klepie, 15) zmniejszenie ziemi, 18) Zygmuntońskie naczynie, 20) ma interes w budce, 22) lukier ukryty w szklarni, 24) wierzenie dziury w brzuchu, 25) biała pora, 26) mi/100 m², 27) pantofelek z tabelki, 28) układny mebel, 30) biała albo czarna, 32) rym z odchyłką, 35) „być albo nie być oto jest pytanie”, 37) pomieszczenie przed terką lub mandrą.

LESZEK Pomiedzy czytelników, którzy w terminie 6-dniowym nadesła trafne rozwiązania, rozlosujemy pięć nagród książkowych. Na kopertach prosimy zaznaczyć: „Krzyżówka z numeru 231”.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NUMERU 225
POZIOMO: tchórz, kłeska, baza, alba, okaz, lalut, Lear,

MODA



Z najnowszej kolekcji Niny Ricci.



Dzisiaj reproduujemy w „Magazynie” jeden z 3 znaczków, wydanych we wrześniu 1937 r. przez Ministerstwo Łączności w stałym cyklu pt. „Wojna Obronna 1939”. Przedstawia on bitwę powietrzną nad Warszawą i podobnie bohaterki polskiego pilota — plk. Stefana Pawlikowskiego.

Dwa pozostałe znaczki z tegorocznej serii „Wojna Obronna 1939” poświęcone są bitwie pod Mokrą i bitwie pod Oleszycami. Na tych zaś znaczkach zobaczyć można innych bohaterów z Września 1939 — plk. dypl. Juliana Filipowicza, dowódcę Wołyńskiej Brygady Kawalerii i gen. bryg. Józefa Rudolfa Kustonia — dowódcę 21. Dywizji Piechoty Strzelców Górskich.

Znaczniki zaprojektowali artyści plastycy — Alojzy Balcerzak i Bogdan Wróblewski. Wydrukowano je wielobarwną techniką rotografii w Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych. Nakłady znaczków od 8 do 6 mln sztuk.

Serię uzupełniają koperty

pierwszego dnia obiegu (FDC). Ich projektantem jest art. pl. A. Balcerzak. W chwili wejścia do obiegu koperty FDC były stemplowane datownikami okolicznościowymi w urzędach pocztowych w Warszawie, Oleszycach i Miedźnie k. Kłobucka.

Warto wspomnieć, że poprzednio jeden ze znaczków tego cyklu został poświęcony bohaterce obrony Wizny w 1939 roku. Znalazł się na nim wizerunek kpt. Władysława Raginisa, który dowodził obroną odcinka „Wizna” w ramach Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew”.

Dla czegoś obszernie pisze o tym cyklu wydawniczym Mi-



NA ZDJĘCIU: znaczek poświęcony bitwie nad Warszawą.

Wrzesień 1939

nisterstwa Łączności? Dlatego, że spełnia on postulaty filatelistów, którzy domagali się upamiętnienia ważniejszych bitew we wrześniu 1939 r. Czy to nie znaczy, że wcześniej nie ukazywały się podobne znaczki? Nie, już w 1945 roku ukazał się znaczek poświęcony walkom o Westerplatte. W tymże roku wydano także pamiątkową serię „Warszawa oskarża”, a w niej budowlę przed i po zniszczeniu ich przez Niemców w 1939 i 1944 roku.

W następnym 1946 roku Poczta Polska emitowała znaczek poświęcony obronie Poczty Polskiej w Gdańsku.

Znaczek ten zasługuje na uwagę i dlatego, że jego nominalny wynosił 3 złote a dopłata aż 12 złotych. Była ona przeznaczona na rzecz Komitetu Opieki nad Obrońcami Poczty Polskiej w Gdańsku.

Później już Wrzesień 1939 rzadko wracał na nasze znaczki pocztowe. Dopiero nowe, przewartościowane spojrzenie na Wrzesień 1939 pozwoliło zmienić dość powszechne przekonanie, że oznaczał on tylko klęskę. Dlatego też Ministerstwo Łączności należało się słowa uznania za podjęcie i kontynuowanie tego cyklu.

STEMPEL W GIZYCKU Miłośników filatelistyki regionalnej informujemy, że do 18 października UPT Giza i stosuje datownik okolicznościowy, poświęcony IX Ogólnopolskiemu Zlotowi Sportowo — Turystycznemu Pracowników Łączności.

HEWELIUSZ '87

29 września br. w Gdańsku została otwarta Krajowa Wystawa Filatelistyczna „Heweliusz '87”. Z tej okazji UPT Gdańsk i stosuje datownik okolicznościowy.

PALI SIĘ!

Jugosławia wydała 2 arkusze znaczków poświęconych ochronie przeciwpożarowej.

FILATELISTA

Burzliwa przyszłość

Wichury o niespotykanej dotychczas sile nawiedziły w najbliższych dziesięcioleciach naszą planetę — twierdzi amerykański badacz klimatu Kerry Emanuel z Massachusetts Institute of Technology. Zródłem gigantycznych trąb powietrznych powstających na ziemi jest wciąż postępujący wzrost temperatury wód oceanów. Oddając ciepło do atmosfery powodują powstawanie niezwykle silnych wiatrów. Jeśli więc temperatura atmosfery wzrosła w najbliższych dziesięcioleciach o 2-3 stopnie Celsjusza, to według komputerowych obliczeń MIT podnieśnie to za sobą powstawanie cyklonów o nieznanej dotychczas gwałtowności. K. A. Emanuel przewiduje huragany, których niebezpieczna moc przewyższalaby najgroźniejsze z dzisiejszych o 40-50 procent.

HOROSKOP z przymrużeniem oka

BARAN
21.03
20.04

Wielka satysfakcja przyniosła najbliższe dni w pracy zawodowej. Bardzo sprawnie rozwiązałeś kilka problemów, zyskując tym uznanie i przychylność przełożonych. W domu nie wszystko ułoży się po twojej myśli. Możesz polegać na Skorpionie.

BYK
21.04
21.05

Udany tydzień dla Byków. W najbliższych dniach musisz zaufać swojej intuicji. W kilku spornych sprawach twoje stanowisko okaże się najwłaściwsze i najrozsądniejsze. Przekonując odcierasz rolę w rodzinnej sprzeczce, lecz satysfakcji ci to nie przyniesie.

BLIŹNIĘTA
22.05
21.06

Drobne kłopoty w pracy będą wynikiem zbyt wielu obowiązków, które wzięłeś na siebie. Gdy się wreszcie z nimi uporaś, pomyśl o lepszej organizacji zajęć zawodowych. Okaz więcej wdzięku ci osobie, na której od lat zawsze możesz polegać.

RAK
22.06
22.07

Pomyślna wiadomość w dziedzinie zawodowej sprawi cię w znakomity nastrój przez cały tydzień. Nie popadaj w samouwielbienie, karta może się odwrócić. Czy nie zbyt lekomyślnie wydałeś pieniądze? Zdrowie w normie. Nie ufaj Skorpionowi.

LEW
23.07
22.08

Lepsza forma i samopoczucie. Wrzes ze wzrostem pewnością siebie, wzrośnie efektywność twoich działań. Wreszcie wszyscy, z którymi miałeś dotychczas napięcia, nadal będzie kruchy. Miłe spotkanie w gronie nowo poznanych osób. Zyczymy Koziorożec.

PANNA
23.08
22.09

Wiele wysiłku włożysz w wypełnienie zbyt pochopnie powziętych zobowiązań. Na szczęście dzięki tym w terminie się ze wszystkiego wywiądasz. Zaskakująca wiadomość dotycząca osoby z twojego najbliższego otoczenia. Trzymaj się Rybami.

WAGA
23.09
22.10

Monotonia w pracy i w życiu domowym sprawi, że zaczniesz odczuwać potworną nudę. To, co codziennie dla ciebie ciekawskie, salety przede wszystkim od ciebie. Telefon od starego znajomego może wiele zmienić. Poprawa finansowa. Miły Baran.

SKORPION
23.10
22.11

Dobre prognozy w pracy. Niewykluczony służbowy, ale bardzo krótki wyjazd w dalekie strony. Nowa znajomość na niwie zawodowej wywoła w sercu prawdziwą burzę. Nie daj się zwabić. Pomyśl o osobie, która wielokrotnie dała ci dowody zaufania i przyjaźni.

STRZELEC
23.11
21.12

Tydzień będzie obfity w spotkania towarzyskie. Pomysł jest tym zamyślony od tego, że będziesz miał wyjątkową ochotę zostawać w pracy po godzinach. Dobre prognozy finansowe. Unikaj alkoholu. Wpadnieś w oko Baranowi.

KOZIOROŻEC
22.12
20.01

W pracy sytuacja podbramkowa, z której wyjdiesz jednak obronną ręką, zadowolając przy tym fason. Nie licz na uśmiech fortuny, lecz spróbuj oszczędnie gospodarować swoimi funduszami. Miła niespodzianka ze strony najbliższej osoby. Stawiaj na Byka.

WODNIK
21.01
20.02

Bardzo udany tydzień dla wszystkich Wodników. Spory wydatek przysporzy jeszcze więcej zadowolenia. W pracy codziennie rutynowe obowiązki, w domu sporo nowego. W trudnych sytuacjach możesz liczyć na żywiliwe rady Wagi. Zdrowie w normie.

RYBY
21.02
20.03

Sprawy zawodowe przesłonią w tym tygodniu wszystkie inne. Energia, którą włożysz w wykonywanie zadań w pracy bardzo cię wyczerpie, ale satysfakcja będzie wielka. Unikaj hazardu. Pomyślny rozwój wypadków w życiu prywatnym. Trzymaj się Baranem.

Czy wiecie, że...?

...Christ Evert dostała wiele głosów od widzów, którzy wybierali panie ukazujące się na ekranie i posiadające najwięcej sex appealu. Pierwsze miejsce zdobyła wspólnie z dziennikarką sportową Jane Kennedy. Dopiero na trzecim miejscu znalazła się mistrzyni olimpijska w gimnastyce Mary Lou Retton.

DZIWI ŚWIATA ROŚLIN



Lekarstwo przy dróźce

Nostrzyk złoty (*Melilotus officinalis*) należy do najpospolitszych roślin. Spotkać go można na łąkach, przydrożach i nieużytkach miejskich. Jest to smukła roślina o charakterystycznych dla rodziny motylkowych złotych kwiatach zebranych w długie grona.

Ziele nostrzyka (Herba meliloti) zawiera cenne związki: kumarynę i melilotynę. Mają one wpływ na krzepnięcie krwi, jej przepływ przez naczynia krwionośne, a także na krążenie chłonięcy w przewodach limfatycznych. U chorych na leukopenię, czyli obniżoną liczbę leukocytów, aktywne substancje nostrzyka powodują szybki wzrost tych niezastąpionych ciałek krwi. Napary leczą zapalenia spojówek. Plastry nostrzykowe (okłady z rozparzonego ziele) przyspieszają gojenie ran i wrzodów, łagodzą nerwobóle. Ostatnio udowodniono, że dwukumarol waktynujący się w takich okładach, likwiduje stany zakrzepowe krwi. Na wiosnę można przygotować tzw. napój majowy (napar ze świętej rośliny plus czerwone wino), który ułatwia organizmowi wykorzystanie czynnych promienistonecznych. Liście nostrzyka to cenna przyprawa do zup i sałatek, a zmieszany z miodem można aromatyzować nawet kompoty.

(Leng.)

Elektroniczny trener

Choć moda na jogging i aerobic nieco u nas przyszła w świecie nadal obserwujemy duże zainteresowanie szczególnie wśród mieszkańców wielkich aglomeracji ćwiczeniami podnoszącymi sprawność i kondycję fizyczną. Gwałtownie wkraczając w życie elektronika także znalazła nieco niezwykłe, ale pomocne szalenie skuteczne zastosowanie.

Amerkańska firma Living Well specjalizująca się w produkcji wszelkiego typu urządzeń i przyrządów sportowych wprowadziła na amerykański rynek „myślącą” mówiącą maszynę do treningu. Urządzenie jest tak skonstruowane, że reaguje na indywidualne życzenia i możliwości ćwiczącego. Najpierw do pamięci maszyny wprowadzić należy podstawowe dane: jak wiek, płeć, wagę, ciążę przystępującego do ćwiczeń a następnie podać cel, jaki zamierzamy osiągnąć — zdobyć szczupłą sylwetkę, czy też wzmocnić siłę mięśni. Po zapoznaniu się z danymi komputer opracowuje odpowiedni program i zestaw ćwiczeń.

Tym, którzy przystępują do treningu towarzyszy głos komputera, który w kilku językach wydaje polecenia oraz zachęca do ich wykonywania. Sumiennosc czy też brak w wykonywaniu zadań także nie uchodzi jego uwagi — trening obserwujemy jest bowiem przez komputerową twarz, która uśmiechem bądź grymasem gorzkiego rozczarowania kwituje podjęte mowy przez ćwiczącego wysiłek.

2000 lat klucza

Brązowe, żelazne, stalowe zdobione i pospolite klucze z różnych epok i krajów zgromadzone na wystawie w Muzeum Narodowym w Warszawie — Hewitta. Jest ich w sumie ponad 500, przy czym najstarsze pochodzą z 2 tys. lat z Egiptu, zaś najnowsze z naszych czasów. Ekspozycja uzupełniana planszami i dokumentami ukazującymi zmiany materiałów, technologii wzorów.